GONIEC OBOZOWY

Pismo żołnierzy internowanych

ROK IV — W OBOZIE, DNIA 15 KWIETNIA 1943 R. — NR 8 (64)



CHRYSTUS ZMARTWYCHWSTAŁ!

Chrystus zmartwychwstał! Z głębi świątyni
Bije, jak słońce, ożywcza wiara,
I blask się w mroku n[illegible]iecie [illegible]ni,
I w[illegible]h upada zwa[illegible] mara.

Chrystus zmartwychwstał! Podnieście skronie,
I znowu skrzydł[illegible]zypnijcie duszy!
Bo oto nędza [illegible]ch się kruszy,
Bo [illegible] pra[illegible] siada na tronie.

Prawda przedwieczna. Miłość bezdenna,
Powstają z grobu w sile przemożnej,
I płynie Jego postać promienna,
Tam, gdzie się we łzach lud kaja trwożny.

Z krańca po kraniec ziemi szerokiej,
Dąży z litosną, przesmutną twarzą,
Idzie po łąkach cichymi kroki,
Gdzie mgły wiosenne w słońcu się ważą.

I do siół wchodzi i wiejską drogą
Spieszy, witając znajome kraje,
Gładzi po główkach dziatwę ubogą,
I niewidzialny na progu staje.

Patrzy z uśmiechem na lud prostaczy,
I błogosławi kmiecej robocie,
A wieś się kąpie w słonecznym złocie,
A z pola słychać śpiewkę oraczy.

I podchwytują głos te skowronki,
Co srebrne piosnki dzwonią w błękicie,
I wieść radosną nucą znad łąki,
I niosą sercem w wieści tej życie.

Zieleniejące słyszą je drzewa
I wtórzą szumem pieśni skowrończej.
I wiatr wiosenny leci z nią rączy,
„Chrystus zmartwychwstał!", świat cały śpiewa.

Artur Oppman (Or-Ot)

WIELKANOC przed trzecim rozbiorem

Dziwnie zapowiadały się w Warszawie święta wielkanocne w ostatnim roku istnienia przedrozbiorowej Rzeczypospolitej Polskiej. Gwarno i rojno było wprawdzie w mieście, przybyły bowiem rzesze uchodźców z zajętych przez zaborców ziem polskich, lecz wcale nie radosny widok przedstawiała stolica. Panoszyły się rozmaite ciemne figury narzucone przez Moskwę, a król polski Stanisław August, rozgoryczony klęską drugiego rozbioru, co tak brutalnie przerwał odrodzenie państwowości polskiej, zamknął się w swym domostwie, szukając ukojenia w działalności artystycznej, której ukoronowanie stanowił pałac Łazienkowski.

Krew burzyła się w narodzie, wrzało zarówno w pałacach magnackich i dworkach szlacheckich, jak i izbach rzemieślniczych. Pragnienie rozprawienia się z wrogiem wzrastało z dnia na dzień. A do miasta, pomimo otaczających je wojsk rosyjskich i pruskich, przedostawały się wieści niezwykłe, że w kraju szykuje się wielki odruch przeciw zaborcom, powstanie zbrojne, że Naczelnik Kościuszko stanął na jego czele, że wszyscy mieszkańcy, bez różnicy stanu, skupili się pod jego chorągwiami dla obrony niepodległości ojczyzny. A nawet po tym dotarła wieść radosna o zwycięstwie pod Racławicami, jak to Naczelnik na czele chłopskich zastępów, zbrojnych w piki i kosy, pobił przemożne siły wroga, jak to dzielni kosynierzy pod przewodem Bartosza Głowackiego, wójta z Rzędy, zagwoździli i zdobyli rosyjskie armaty, Kościuszko zaś w uznaniu tego czynu przywdział chłopską sukmanę miast generalskiego munduru.

Nic już powstrzymać nie mogło wystąpienia ludności stolicy. Apele do świętej wojny obronnej padły ze świątyń Pańskich z ust kapłanów. Artyści teatru odgrywając sztukę Bogusławskiego »Krakowiacy i górale«, napisaną pod wrażeniem zwycięstwa pod Racławicami, w piosenkach swych ze sceny rzucają powstańcze hasła. Ruch ten, który zataczał coraz szersze kręgi, nie uszedł uwagi Moskali. Ambasador Igelstroem pragnął skorzystać z pozoru rozruchów i uprzedzić działanie Polaków. Lekceważąc sobie przygotowania powstańcze a rozzuchwalony bezkarnością za dawniejsze swe gwałty na Rzeczypospolitej, postanowił podczas wielkanocnego nabożeństwa rezurekcyjnego zamknąć wejścia świątyń armatami, a zawładnąwszy w ten sposób ludnością, rozbroić oddziały polskie i zająć arsenał. Jednak plany jego doszły do wiadomości spiskowców i przyśpieszyły właśnie wybuch powstania. Uradzono tedy, że już w Wielki Czwartek majster szewski Jan Kiliński na czele hufca młodzieży rzemieślniczej rzuci się znienacka na pałac Igelstroema przy ul. Miodowej, a na sygnał alarmu wojsko polskie rozda ludności broń z arsenału i prochowni pod miastem, ta zaś rozbroi oddziały rosyjskie. Moskale choć od dawna spodziewali się powstania, zostali zaskoczeni. Wyczerpało ich siły i zmyliło bezpłodne oczekiwanie i czuwanie przez tyle dni i nocy.

Atak na pałac ambasadora powiódł się, a sam tchórzliwy ciemiężca uciekł i szukał schronu w obozie Prusaków, stojących pod miastem, pozostawiając na łup zwycięzców nawet kasę i papiery państwowe. Po dwudniowych walkach pokonali mieszkańcy moskiewską załogę, górując nad nią męstwem, zapałem, znajomością terenu i doskonale zorganizowaną samopomocą obywatelską.

Dnia 19 Kwietnia 1794 r., w Wielką Sobotę — »obywatele, mieszkańcy księstwa mazowieckiego spisali akt przystąpienia do powstania krakowskiego pod wodzą Kościuszki i przeobrazili insurekcję krakowską w wielki ruch narodowy całej Polski«. Na czele miasta stanął prezydent Ignacy Zakrzewski, poseł Sejmu Wielkiego, do Rady wszedł obok wodzów i szlachty szewc Jan Kiliński, który za swe zasługi dostał stopień pułkownika.

Dzwony rezurekcyjne miast uderzyć na trwogę, jak tego pragnął wróg ciemiężca, zadzwoniły onej Wielkiej Soboty w Warszawie podwójnie radośnie, głosząc wielką nowinę, że Chrystus zmartwychwstał w wolnej polskiej stolicy, w której zbudziły się w triumf wspaniały samopoczucie i świadomość własnych sił całego narodu, wszystkich jego warstw złączonych po raz pierwszy pod hasłem dobra Państwa.

Z. Krzemiecka

KU JUTRZNI...

(URYWEK)

— ... Łataj kapotę, Szymik, i ceruj buty! Ponoć my tu jeszcze zostaniemy ździebko.

— Oo! — obruszył się Szymik. — Że też w samo święto Zmartwychwstania Pańskiego dowcip ci tak skwaśniał! Zostaniemy, mówisz?

W głosie jego zabrzmiała długo tłumiona gorycz. Powoli, jak wszystko w Szymikowym życiu, napływał mu do serca wrzątek gniewu.

— Zostaniemy, mówisz? Tybyś tu i czwarty rok czekał i czekał, czekał i czekał...

Szymik poczerwieniał. Nagle uderzył ręką o stół, aż szyby w baraku zadźwięczały.

— A ja nie! — krzyknął. — A ja nie!... Rozumiesz?...

Zdawało się, że między dwoma nierozłączonymi przyjaciółmi zawisła groźba nieuchronnej sprzeczki, jakkolwiek nikt nie pamiętał, aby Szymik kiedykolwiek gniewał się. Gniew jego minął jednakże tak szybko, jak przyszedł. Oczy mu się zapadły w głąb, jakby przygasły. Potem podparł oburącz głowę i zaczął mówić cichym zmęczonym głosem, ni to do siebie, ni do Wilisza:

— Już czwarty raz... czwarty rok... W każdą Wielkanoc myśleliśmy, że to już ostatnia na obczyźnie. Ale później zawsze przyszła druga...

Już czwarty rok...

Jednakże Wilisz przerwał mu biadolenie.

— Słuchaj, Szymik! — zaczął poważnym, łagodnym głosem. — Tamte święta — to nie to samo. Jakby ci to rzec? Człowiek wierzył i ufał, ale sam nie wiedział dobrze, dlaczego. Ot, tak się gadało. Nie powiem, żeby to było źle: bo bez tej nadziei bylibyśmy wszyscy wśród obcych w końcu zmarnieli.

— Zmarnielibyśmy... — powtórzył, jak echo Szymik.

— Ale ta Wielkanoc całkiem nie podobna do innych. Już nie myślisz o tym, o czym nieraz sobie myślałeś: Spojrzę ja jeszcze kiedyś matce w oczy, czy nie spojrzę? Minie kiedyś ta nasza noc, czy minie?

(Dokończenie na str. 4)

Polscy lotnicy w składzie R.A.F.*)

Po upadku Polski około 90% pilotów polskich zdołało opuścić swój kraj. Czyniąc to byli oni posłuszni rozkazom swoich dowódców i próbowali udać się do Francji i Anglii, aby tam walczyć w dalszym ciągu. Pomimo nieprzeliczonych trudności w podróży, zdołali w większej części dojść do celu. Podczas bitwy o Francję strącili 69 aparatów niemieckich, tracąc sami tylko 15 pilotów. Jednakże Francja nie umiała wykorzystać ich ani dosyć szybko, ani całkowicie. Drogocenny czas stracony został na obradach administracyjnych. W ten sposób piloci, którzy zanudzali się na śmierć w Lyonie, zabijali czas obmyślając dla siebie sztandar z odpowiednimi godłami i hasłami. Pokątnymi drogami sztandar ten zamówiony został w Polsce i wykonany w największej tajemnicy rękoma kobiet polskich. Gdy był gotów, wysłano go do Belgii, lecz było już za późno na przekazanie go do Francji. Dopiero w Anglii zdołał on dotrzeć do lotnictwa polskiego, któremu wręczył go tam uroczyście gen. Sikorski.

Po kapitulacji Francji tysiące lotników polskich zdołało różnymi możliwymi drogami dostać się do Anglii. W najczarniejszej godzinie wojny, nie chcąc po raz drugi uwierzyć w stratę wszystkiego, powracali do walki. Służba w Anglii przedstawiała nieoczekiwane trudności praktyczne. Mało pilotów znało język angielski. Żaden z nich nie latał na »Hurricane'ach« lub »Spitfire'ach«. Wszystkie liczniki pokładowe posiadały numerację funtową, stopową i gallonową i, wobec tego, należało im natychmiast przetłumaczyć te wskazówki na jednostki systemu metrycznego, co nie zawsze było rzeczą łatwą. Praca mechaników była cokolwiek lżejsza. Części składowe samolotów są te same we wszystkich krajach.



Przeważna ilość pilotów miała doskonałe umiejętności techniczne i praktyczne, lecz z pewnych względów znajdowali się oni w warunkach zupełnie nowych. Większość ich umiała kierować się jedynie podług mapy i nie bardzo znali technikę lotu nad morzem. Lecz po 2 miesiącach wytężonej pracy zdobyli oni i te wiadomości.

Przyjęci z otwartymi ramionami przez »R. A. F«**) byli oni już w linii podczas bitwy o Anglię. Pierwszy dywizjon polski podczas wielkich walk sierpniowych i wrześniowych 1940 roku strącił 117 aparatów niemieckich, tracąc sam tylko 7 pilotów. W chwili obecnej, po 2 latach walk, myśliwce polskie mają urzędowo stwierdzone strącenie 463 aparatów, oraz 110 prawdopodobnie strąconych, nie mówiąc już o 124 samolotach uszkodzonych (Artykuł ukazał się na początku października ub. r. Po dzień 15 II 43 zestrzelono 507 samolotów nieprzyjaciela. Przyp. Red.).

Bombowce polskie współdziałały z bombowcami R. A. F. od września 1940. Ogółem 2.987 załóg polskich brało udział w wielkich wyprawach angielskich. Było ich przeszło 100 podczas nalotów po 1.000 aparatów nad Kolonią i Essen. Gdy pilot polski bombardował trzy razy nieprzyjacielskie miasto, eskadra jego nadaje mu tytuł »obywatela honorowego« tego miasta. W ten to sposób pewien bardzo młody pilot otrzymał tytuł »obywatela honorowego miasta Bremy« po powrocie z jednego z wielkich nalotów lipcowych nad tym miastem, które bombardował będąc w dywizjonie im. Piłsudskiego. W eskadrach polskich dużo jest »obywateli honorowych« całej serii miast niemieckich.

* * *

Pewien pilot w ten sposób opisuje nocny lot nad Berlinem: »Lecimy do Berlina. Jesteśmy tym bardzo podnieceni. Bombardowanie stolicy Niemiec sprawia nam szczególne zadowolenie, nie z powodu jej urządzeń obronnych, które są silniejsze niż w innych miastach, ani z powodu odległości, która jest duża do samego celu, ani tym bardziej z powodu dużego niebezpieczeństwa, istniejącego podczas takiego lotu, lecz dlatego, że tutaj czujemy najlepiej, iż mścimy bombardowanie Warszawy i innych miast Polski... W pełnym obciążeniu odlatujemy o zmierzchu. Samolot podrywa się z trudnością, lecz po chwili wznosimy się szybko. Jest zupełnie ciemno, pogoda dobra. Minuty i godziny przechodzą... Reflektory niemieckie zaczynają swą pracę i obrona przeciwlotnicza przenika noc, na naszą cześć, tysiącami ogni sztucznych. Słyszymy parę odłamków granatów na naszych skrzydłach. Zbliżamy się do celu. Sekunda, dwie, trzy, cztery... »Uwaga! Bomby!« Aparat jakby wzdychał z ulgi, gdy odczepia się parę tysięcy kilogramów. Duży wybuch i parę mniejszych oświetlają noc. Podczas ułamka sekundy widzimy ulice, walące się domy i kominy fabryczne wśród olbrzymich płomieni. I dopiero wtedy zawracamy do domu ..«

Z jednego takiego lotu pewien pilot wrócił aparatem, który stracił lotki skrzydeł, prawie cały ogon i podziurawiony był przez kule. Ponieważ nazajutrz miał nanowo odlecieć, mechanicy pracowali bezustannie przez 24 godziny i w końcu doprowadzili samolot do porządku.

* * *

Lotnictwo polskie przydzielone jest do »R.A.F.« zachowując jednak pewną niezależność i samodzielność, gdyż zarazem wchodzi ono w skład całości wojska polskiego. Inspektor generalny lotnictwa polskiego utrzymuje tu łączność. On to wydaje ostateczne decyzje w sprawach organizacji ogólnej i personelu. Kierownictwo ogólne ćwiczeń, zaopatrzenia, sprawy administracyjne należą do R.A.F., jako też organizacja działań bojowych. Wszystkie sprawy taktyczne należą do Polaków.

Obsługa naziemna, personel administracyjny, szkoły ćwiczebne — wszystko to złożone jest z Po-

---

*) „Curieux", Neuchâtel, nr 40/1942.

**) „Royal Air Force" — Królewskie Siły Powietrzne — oficjalna nazwa lotnictwa brytyjskiego.



* * *

Życząc Czytelnikom, aby poniżej przytoczony staropolski toast był nie tylko echem czegoś, co dawno minęło, lecz i wróżbą niedalekiej już przyszłości, podpisuje się pod nim REDAKCJA

Staropolski toast

O panowie, niech los w dani
Przynosi nam dużo zysku —
Bądźmy zdrowi i rumiani
Jak to prosię na półmisku.

Człek na radość sieć zarzuca
Ale smutki zwykle łowi —
Niech spokoju nikt nie skłóci
Nam — jak temu indykowi.

Niechaj każdy będzie syty
Zdrów i wesół i nie słaby —
Miejmy wygląd znakomity
Jak te pulchne, wzrosłe baby... *)

Niech nie znęca się nad nami
Los chorobą ani zgonem —
Jak na przykład my dziś sami
Znęcamy się nad święconem.

*) Baby nie te z rubryki „verboten", lecz zapomniany rodzaj doskonałego, przedwojennego pieczywa.

łaków, podobnie jak i personel obsługi meteorologicznej; poza tym spora liczba techników (personelu kwalifikowanego) zatrudniona jest w fabrykach lotniczych brytyjskich i laboratoriach R. A. F. Na Średnim Wschodzie oddział lotnictwa polskiego służy w jednej z jednostek R. A. F. Młodzi piloci ćwiczą się w eskadrach myśliwskich R. A. F.

Rozkazy, dyscyplina i służba są polskie, choć jednak są one prawie wiernie wzorowane na przepisach R. A. F. Stopnie są podwójne. Oficerowie noszą polskie odznaki stopnia na kołnierzu munduru, a ich odpowiednik angielski na rękawie.

Co do ducha tych ludzi, odzwierciedli się on w paru opowiadaniach o ratowaniu i walkach.

Oto jeden dzień polowania nad Kanałem La Manche. »Niedaleko wybrzeża francuskiego widzę »Dorniera 215« latającego dosyć wolno. Atakuję go dwa razy bezskutecznie z odległości 100 metrów. W tej samej chwili zauważyłem za »Dornierem« dwa inne samoloty, które biorę za samoloty angielskie, więc kieruję się do nich, aby razem zaatakować bombowca. Lecz spostrzegam wkrótce, że są to dwa myśliwce niemieckie, eskortujące »Dorniera« — już zresztą dosyć uszkodzonego. Bez wahania decyduję się zaatakować najbliższy z myśliwców i strzelam z odległości 40 metrów. »Me 109« zapala się i rozbija się w morzu. Biorę drugiego na cel i także go strącam. Wtedy po raz trzeci atakuję bombowiec i znów go chybiam. Jesteśmy teraz nad Francją, lecz chcę jeszcze raz spróbować z bardzo bliska... Pozostało mi jedynie kilka pocisków. Wreszcie »Do 215« płaszczy się i staje w płomieniach...«

A oto koniec wyprawy, która mogła by się była skończyć katastrofą. Polski plutonowy-pilot powracał z lotu nad Lille. Podczas walki silnik jego został uszkodzony. Aparat zaczyna dymić i stawiać opór i w chwili przelotu nad wybrzeżem wschodnim w Calais (Francja) jest nanowo trafiony ogniem niemieckich baterii przeciwlotniczych. »...Na 900 metrach otwieram drzwiczki kabiny — opowiada pilot — odpinam rzemienie i staram się wyskoczyć ze spadochronem. Lecz ciśnienie powietrza jest za duże. Tracę szybko wysokość i ponieważ nie ma innego wyjścia z sytuacji, postanawiam zejść na poziom morza, nie mogąc obecnie, bo to jest za nisko, wyskoczyć ze spadochronem. Osiadając na wodę, samolot dotknął ją najpierw ogonem i następnie całym kadłubem. Uderzenie było bardzo silne. Zanurza się natychmiast. Będąc pod wodą staram się wyjść z aparatu, co nie jest rzeczą bardzo łatwą. Wydostaję się w końcu i płynę ku powierzchni, mając ciągle spadochron przytroczony do pleców. Wypływam na powierzchnię. Mogę chwileczkę oddychać. I znów wciągnięty jestem w wodę«. Wreszcie pilot zdołał zdjąć spadochron i odkręcić zakrętkę butli ze sprężonym powietrzem co powoduje, że łódka pneumatyczna, którą ma przy sobie, wyprowadza go na powierzchnię. Odetchnąwszy nieco dostaje się do niej. Cztery dni spędza na Kanale; żaden z samolotów przelatujących nie zauważył go. Wreszcie ukazują się trzy »Spitfire'y« i jeden »Lysander«. »Lysander« wypuszcza rakietę tuż koło niego i oddala się. Lecz »Spitfire'y« krążą dookoła. Po 20 minutach podpływa łódź ratunkowa.

»W taki sposób zostałem uratowany. Miałem szczęście...«

Ku jutrzni... (Dok. ze str. 2)

Dzisiaj już całkiem inaczej. Bo tu właśnie...

Wilisz zawahał się, jakby szukał właściwego słowa. Nagle znalazł je i dokończył:

— ...jutrznię widać na niebie!

Przez chwilę zaległa izbę głęboka cisza. Ku nim obu wionęła z tego słowa jakaś wielka prawda i radość.

— Drogi jeszcze nie rozeznasz — mówił Wilisz — ale wiesz na pewno, że dzień będzie. A jak mówił Motowidło: wszystko jedno, czy to za dzień, czy za dwa, ale zbliża się chwila, kiedy ruszymy »ku jasnej przyszłości«. A choć droga daleka i kamienista i stroma — dojdziemy!

W miarę, jak Wilisz mówił, twarz Szymika rozpogadzała się, oczy mu poweselały. W końcu roześmiał się. Śmiał się do siebie, do Wilisza, do cynowej misy, na której widać było ich ubogie »święcone«.

— Wilisz! — zawołał nagle.

— A co?

— Kup mi skóry na podeszwy! **kod**

Nasi koledzy z Mariefredu

Na ogół mało słyszymy o naszych marynarzach, którzy, rzuceni wypadkami wojny do Szwecji, trwają tam wiernie przy swoich okrętach podwodnych i czekają z niezachwianą wiarą na chwilę, gdy szczęśliwy los pozwoli im znowu wziąć udział w walce o oswobodzenie ojczyzny. W jednym z numerów tygodnika sztokholmskiego »Allers« z ub. r. czytamy o nich tę ciekawą relację szwedzkiego dziennikarza.

Wspomniawszy, że na terenie Szwecji znalazło się w czasie obecnej wojny wielu cudzoziemców podkreśla on, że wśród nich odrębną grupę stanowią internowani uczestnicy wojny.

»Są to — pisze — angielscy i niemieccy lotnicy, którzy lądowali przymusowo na szwedzkiej ziemi, marynarze, którzy wyratowali się na brzeg ze storpedowanych lub zatopionych minami okrętów, albo wreszcie załogi okrętów, które na skutek przebiegu działań wojennych znalazły się na wodach szwedzkich.

Do tych należą trzy polskie okręty podwodne (»Sęp«, »Ryś«, »Żbik«), które po zakończeniu kampanii w Polsce nie zdołały się już wydostać z Bałtyku, lecz zmuszone były poddać się internowaniu w Szwecji. Większą część ich załóg — razem około 130 ludzi, w tym wielu oficerów — umieszczono w okolicy miasteczka Mariefred, podczas gdy reszta polskich marynarzy znajduje się w pobliżu miasta Falun. Celem pilnowania Polaków zainstalowano w Mariefred również mały garnizon szwedzki, złożony z około 60 marynarzy pod dowództwem kapitana marynarki.

Oznacza to więc, że wojna powiększyła znacznie liczbę ludności tego miasteczka, liczy ono bowiem nie więcej, jak 500 mieszkańców; jest to jedno z najmniejszych miasteczek Szwecji. Jeżeli nawet dodać »przedmieścia« to doliczymy się co najwyżej 1,500 mieszkańców. Zrozumiałe jest zatem, że przybycie 200 szwedzkich i polskich marynarzy wpłynęło w wysokim stopniu na zewnętrzny wygląd miasta.

Nikt jednak na to nie narzeka. Polacy, którzy korzystają z dość wielkiej swobody poruszania się, stali się bardzo popularni. Ludność miejscowa chwali sobie bardzo swoich gości. Ludzie to inteligentni, mili i ze wszech miar uprzejmi.

Mały szwedzki garnizon wartowniczy ulokowany jest we dworze Marieland odległym o 2 km od miasta. Zaraz poniżej pięknego parku dworskiego przycumowane są do brzegu dwa stare statki mieszkalne, na których zakwaterowano polskie załogi i część polskich oficerów. Trzy polskie okręty podwodne są zakotwiczone przy małej wysepce położonej naprzeciwko, w nieznacznej odległości od brzegu.

Dla starszych polskich oficerów wynajęto mieszkania prywatne — dowódca mieszka np. w samym środku Mariefred. Udało mu się połączyć znowu ze swoją rodziną, żoną i dwojgiem dzieci. Jego 10-letnia córeczka uczęszcza do jednej z miejscowych szkół. Nauczyła się ona nadzwyczaj szybko, jak zresztą wielu innych Polaków — mówić poprawnie po szwedzku. Gdy zadzwoniłem do mieszkania dowódcy, otworzyła mi ona drzwi i oznajmiła z dźwięcznym akcentem Sörmlandii, że

»Pappa är inte hemma, men han kommer strax«

(ojca nie ma w domu, ale zaraz przyjdzie). Gdybym nie był zawczasu poinformowany, nie byłbym ani na chwilę wątpił, że mam przed sobą dziecko szwedzkie, tak czystym akcentem było to powiedziane.

Czym właściwie zajmują się Polacy? Mają oczywiście dość dużo roboty na zamieszkiwanych przez siebie statkach, jak również na swoich okrętach podwodnych, aby utrzymać je w należytym porządku i czystości; muszą poza tym prać sobie bieliznę i gotować strawę. Wykonują oni również różne ćwiczenia, aby utrzymać się w należytej kondycji. Ku mojemu wielkiemu zdziwieniu spotkałem oddział polskich marynarzy, maszerujących w pełnym umundurowaniu ulicami Mariefredu.

Lecz to wszystko nie może oczywiście wypełnić całkowicie czasu przeszło setce młodych i zdrowych ludzi; toteż wielu wzięło udział w robotach w okolicy. W jesieni wykonali Polacy liczne roboty ziemne i inne na rachunek lasów państwowych. Poza tym część ich wykonywała roboty leśne również dla prywatnych właścicieli lasów w pobliskiej okolicy. Pracują oni energicznie, niezmordowanie i z doskonałym wynikiem.

Opłata jest taka sama jak dla robotników szwedzkich za podobne świadczenia, a ponieważ Polacy nie mają żadnych wydatków związanych z mieszkaniem i utrzymaniem — o to dba państwo szwedzkie, i otrzymują oni należności, odpowiadające szwedzkim normom wojskowym — stanowią przez to wydatne wzmocnienie siły nabywczej tego małego miasteczka.

Lecz także i życie kulturalne Mariefredu odczuło wpływ obcego elementu. Już na święta Bożego Narodzenia w r. 1940 wykonał zespół złożony z oficerów i marynarzy polskich okrętów podwodnych tradycyjne przedstawienie, jakie od dawien dawna urządza się w tym czasie w Polsce. Impreza miała jednak wtedy charakter raczej prywatny i grono widzów złożone było jedynie z Polaków zamieszkujących w Sztokholmie oraz członków korpusu dyplomatycznego.

Lecz w ostatnie święta Bożego Narodzenia uzyskano zezwolenie na urządzenie przedstawienia publicznego tzw. Jasełek. Sztuka ta jest pewnego rodzaju misterium z wkładkami satyryczno-rewiowymi. Jest pisana wierszem i została odtworzona w Mariefred przez Polaków z pamięci, co przedstawia nielada wyczyn. Wszystkie wspaniałe i barwne kostiumy wykonali sami marynarze. Również dekoracje sporządzono we własnym zakresie.

Wynik przeszedł wszelkie oczekiwania. Po uroczystej premierze w święta Bożego Narodzenia nastąpił szereg przedstawień dla szerokiej publiczności i okazało się, że Jasełka ściągnęły istne tłumy publiczności do teatru, który przez cały miesiąc styczeń zapełniony był po brzegi.

Stosunki między internowanymi a ludnością miejscową są więc doskonałe, a nawet można powiedzieć — serdeczne. Mariefred czuje się dobrze z Polakami, Polacy zaś czują się tak dobrze, jak to w ich sytuacji, internowanych w obcym kraju, jest możliwe. *)

A. M.

Polska Walcząca nr 5/1943.

Jeśli kochasz życie, nie marnuj czasu.

Rozpocznij! Tylko w ten sposób może niemożliwe stać się możliwym. **Pestalozzi**

Tu się będziemy bronić!

Zbudziło mnie pukanie do drzwi. »Wejść!« — zawołałem. Przykra świadomość, że za chwilę zmuszony będę wstać, wzmogła we mnie pragnienie snu o sekundę dłużej. Po chwili, która wydała mi się nieskończonością, uczułem że ktoś uparcie targa mnie za ramię. I jak iskra elektryczna wstrząsnęło mną słowo: »Pułkownik«.

Zerwałem się na równe nogi. »Kto jest?« — pytam, szukając w pamięci miejsca, w którym się znajduję.

»Kapral Molenda, panie poruczniku. Ale też pan porucznik spał! A tu pilno, pan pułkownik woła. W sztabie ruch, jak w piekle.«

Machinalnie wciągałem płaszcz, bez światła znalazłem hełm, torbę oficerską, lornetkę. Nie oglądając się za kapralem wybiegłem przed dom.

Świeże powietrze wypełniło mi płuca. W pierwszej chwili nie mogłem rozpoznać najmniejszego szczegółu. Widziałem przed sobą jakby czarny ekran. Molenda stał za mną, podając zapomnianą na krześle latarkę polową. Blady snop światła padł mi pod stopy, wskazując drogę. Ruszyłem naprzód. Do moich uszów dobiegało coraz więcej głosów, słychać było liczne kroki. Żołnierze w pełnym oporządzeniu kręcili się pojedyńczo to znów grupami, śpiesząc w swoim kierunku. Słychać było krótkie rozkazy, wydawane stłumionym głosem. Gdzieś warknął motor. Motocykliści-łącznicy oglądali uważnie maszyny, wsłuchując się bacznie w działanie silnika.

Nagle tuż obok mnie słyszę głos: »Czołem, panie poruczniku! Czekam, wszystko gotowe. Będziemy mieli znowu trochę roboty«.

Poczciwy st. strzelec Kędzia jeździł jak szalony. W nocy widział jak sowa, w dzień — Boga prosiłem w duchu, ażebyśmy cało dojechali do celu. Gdy mu wszystko dobrze poszło w czasie jazdy, mawiał: »Rodzona matka nie woziła pana porucznika tak, jak Kędzia — co? A może łyczek wina? Kurz trzeba wypłukać z ust...«

Janek Kędzia był morowiec, wiązało nas wspólne zaufanie i krew, wiadomo — warszawiacy. Poklepałem chłopca po ramieniu, a za chwilę meldowałem się już u dowódcy pułku. Nawet nie podniósł głowy. Usłyszałem jedno słowo: »Mapy!«

Jako odpowiedzialny za mapy i sprzęt optyczny czułem wyrzuty sumienia, że skorzystałem z pozwolenia szefa sztabu, który polecił mi udać się na spoczynek. Trzy dni i dwie noce nie zmrużyłem oka. Zasłużyłem sobie uczciwie na tych kilkanaście minut snu.

Po chwili meldowałem dowódcy pułku, że mapy są przygotowane. Wtedy dopiero podniósł na mnie oczy. Spojrzał i kierując się do pokoju, w którym przygotowałem mapy, rzucił mi przez ramię: »Będą rozkazy do I i III batalionu. Czekać przy mnie.«

Mijały minuty. Dowódca pochylił się nad stołem z mapami. Twarz miał zmęczoną. Pełen spokoju i opanowania studiował położenie naszych oddziałów, porównując je z otrzymanym przed półgodziną rozkazem z dywizji. Po chwili przywołał do stołu szefa sztabu i zaczął dyktować rozkazy dla batalionów. Zauważyłem, że dyktował bez przekonania, jakby umyślnie zwlekał i ważył każde słowo oczekując czegoś, co musiało się stać lada chwila. Myśli jego były w terenie; w pierwszych liniach naszej obrony szukały rozwiązania praktycznego.

Raptem brzęczyk telefonu polowego przerwał moją zadumę. Dowódca pułku wyprostował się. Twarz jego ożywiła się. Do pokoju wszedł adiutant pułku i zameldował, że jest telefon z dywizji. Dowódca dywizji chce mówić z panem pułkownikiem. Słuchaliśmy z zapartym oddechem. Każdy zdawał sobie sprawę z ważności chwili. Krótkie, lakoniczne zdania częściowo orientowały nas o decyzji, która w tej chwili biegła wielokilometrowym kablem linii polowej.

Krótkie »Tak jest, panie generale. Czołem!« — zakończyło rozmowę.

Pułkownik odwrócił się do nas i spojrzał po zebranych. Twarz jego promieniała, oczy pełne były błysków, zginęło nagle zmęczenie. Stał przed nami pełen powagi i silnego postanowienia. Nikt nie odważył się przerwać ciszy, jaka w tej chwili zapanowała. Podświadomie wyczuwaliśmy, że za chwilę padną słowa, które rozstrzygną o losie naszego pułku. Z naszym dowódcą byliśmy gotowi na wszystko.

Ciszę przerwał pułkownik:

»Tu będziemy się bronić!«

Słowa te były nam bliskie i znane. Nie trzeba nam było tłumaczyć ich znaczenia.

Na dworze szarzało.

Erkaes

PRZYSŁOWIA CHIŃSKIE

DZIŚ I JUTRO

Dziś dzisiejsze wypij wino,
Jutro cierp jutrzejsze troski.
Przyszłą nie martw się przyczyną,
Dzisiaj pij dzisiejsze wino.
Tą zasadą mędrcy słyną,
Tak przysłowia uczą głoski:
Dziś dzisiejsze wypij wino,
Jutro znoś jutrzejsze troski!

KOŃ A CZÓŁNO

Konia gdy dwu karmi ludzi,
To jak gdy dwóch czółno łata:
Szkapa na kość się wychudzi,
Jeśli dwóch ją karmi ludzi.
Gdy nad łodzią dwóch się trudzi,
Będzie ciekną, strzeż się grata!
Konia gdy dwu karmi ludzi,
To jak gdy dwóch czółno łata...

NADMIAR TROSK

Człek ni setki nie dożyje,
A ma trosk na tysiąc lat.
Wszak tej prawdy nikt nie zbije,
Że stu mało kto dożyje.
Zrzuć to brzemię, co gnie szyję
I ochoczo spojrzyj w świat!..
Człek ni setki nie dożyje,
Pocóż trosk na tysiąc lat?

WŁASNE DRZWI

Sprzed twych dźwierzy zmiataj śnieg,
O sąsiada nie dbaj sople!
Wszystko własny niech ma bieg,
Wpierw u siebie wymieć śnieg.
Potem wspólny wchłonie ściek
Zaspy z dróg i z dachu krople...
Sprzed swych dźwierzy zmiataj śnieg,
O sąsiada nie dbaj sople.

Wiernie (?) przełożył SZU-MI-GAJ

O Panu Jezusie i zbójnikach

Seł raz Pon Jezus ze Świentym Pietrem Pawłem bez las i spotkali ig zbójnicy.

To było kajsi w górak, na Luptowie, cy kajsi.

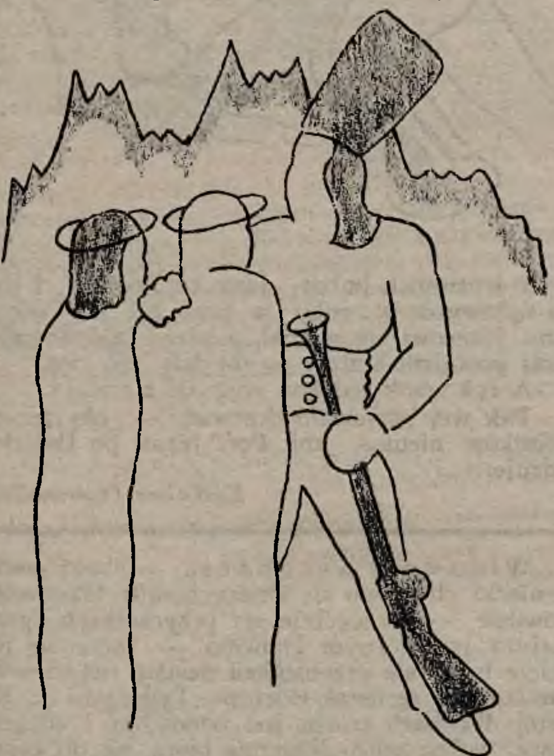
— Nieg będzie pofalony --- powiada Pon Jezus i ukłonił sie kapelusem.

— Niegze bedzie na wieki wieków. Jamen --- pado harnaś zbójecki, herśt. --- Ka idziecie?

Kciał Pon Jezus cosi rzec, ale mu Świenty Pieter Paweł niedał, ba pilno gwarzy: --- Po pytaniu.

Ze to niby po prośbie, wiecie, śli.

A to bez to, bo widział torby, a łakomy był, jako to z biednego stanu, hoć i Świenty.



Przypatrzył sie do nik obu harnaś dobrze i pado: --- Podźcie s nami.

I obrócieł sie do swoik towarzisów i gwarzy:

— Ten stary bedzie dobry torbe nosić i drwa rąbać, a ten młody ogień kłaść i posługować koło jadła.

I pyta sie: --- Idziecie?

Skrobnon sie Świenty Pieter za uhem, bo poznał, ze to zbójnicy, zbrój na nik był, flinty, ciupagi, nie rzec mu sie to widziało jako Świentemu ze zbójnikami hodzić, a jesce s Pane Jezusem wraz. Ale sie ta moc za uhem nie skrobał, bo sie bał, i patrzy do Pana Jezusa: co bedzie?

A Pon Jezus kiwnon głowom i pada: --- Dobrze.

Straśnie sie to cudnie Świentemu Pietrowi Pawłowi zdało, ale sie prociwić nieśmiał. Jedno sie zbójników bał, drugie Pana Jezusa słuhać musiał. Zaraz mu torbe na plecy przypieni, a Pon Jezus ino sakwe z hlebe dostał. Mało mieli jeść, bo zdaleka śli.

Idom. Uśli kęs drogi, gorąc piók, polęgali zbójnikowie do cienia i pospali sie.

Gwarzi Świenty Pieter Paweł do Pana Jezusa:

— Uciekojmy, bo jesce do kłopotu przynik przydzieme!

Ale Pon Jezus kiwnon głowom, ze nie.

Kie sie zbójnicy pobudzili, idom dalej. A było tyk zbójników trzok.

Ku wiecorowi poceno hybiać jedzenia. Bo ta i Pon Jezus co nieco zjad, a Świenty Pieter Paweł se nie żałował. Jeść sie sytkim fciało, co jaze marli od głodu idęcy. A tu patrzom --- lezy pod drzewe stary człowiek.

— Coz ci to? --- pyto sie harnaś.

— Głodnyk jest --- pado ten stary.

I ten zbójnik dał mu swój kawołek hleba ostatni, co go jesce sowany miał.

Idom dalej, bez pola, pocon prać grad z lodem, a zimno przysło takie, co cud! Patrzom: zaś dziecko małe w polu płace.

— O coz płaces? --- pyto się go drugi zbójnik.

— Zimno mi.

I ten drugi zbójnik sjon ze sobie kozuch i odział to dziecko i w kosuli ino ostał, jaze go trzęsło.

Idom zaś znowa dalej, patrzom: dom gore. Dzieci płacom, wołajom: --- Mamo! mamo!

I trzeci z tych zbójników hipnon w ogień i wyniós dzieciom matke spośród płomienia, jaze włosy osmendzieł.

Pośli dalej i zaśli do jednej karcymy przenocować. A tam ig kacmarka poznała i posłała odkaz do wójta, do ryktara. Przyleciał wójt z przysięznymi i z ludziami i tyk zbójników powiązali. A ś nimi i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem. Wyprowadzili ig z karcymy, zawiedli ku śpiklerzowi gromadzkiemu i hań ig zawarli.

Świenty Pieter Paweł wzion płakać i godo pocihu do Pana Jezusa:

— No nie padałek Ci, Panie Jezu, ze jesce tyk hucfutak do kłopotu przydzieme? No to my juz w nim. Cos teroz bedzie?

A Pon Jezus nie mówi nic, ino palcem po ziemi pisał.

Na drugi dzeń rano wójt i przysięzni tyk zbójników i Pana Jezusa z Pietrem Pawłem do miasta na wozie zawieźli. Do sądu.

Obstompiły ig ziandary w sądzie, hejducy węgierscy, i powiedli do sądowej sale, a tam na stolcak siedzieli sędziowie. Było ik samo tak, jak i tyk zbójników, trzok.

— Wyście kradli? --- pyta się nostarsy sędzia.

— My.

— Wyście podpalali?

— My.

— Wyście zabijali?

— My.

A o Pana Jezusa i Świentego Pietra Pawła sie nie pytał, bo ci zbójnicy zaroz pedzieli, ize ig ino po drodze ze sobom zajeni i ze musieli ś niemi iść kcęcy niekcęcy.

— Co im sądzić? --- pyto sie ten nostarsy sędzia sędziego po prawej rency.

A ten niewiele myślęcy pado: --- Śmierzć.

— Wy trze bedziecie wisieć --- pada nostarsy sędzia do zbójników, --- a wy dwa mozecie iść do domu --- zaś sie obyrtnon do Pana Jezusa i Pietra Pawła.

Świenty Pieter Paweł sie zaroz z ławy porwał, iść gotowy, ale Pon Jezus sie shylił i po podłodze palcem pisał.

— Coz pises? --- spytał sie go głowny sędzia.

A oni nie poznali nic, jeze to Pon Jezus, ani ci sędziowie, ani niwto iny.

— Pisem was wyrok --- pado Pan Jezus.

— Jakoz to nas wyrok sędziowski po kurzu po podłodze palcem pises?!

A Pon Jezus dźwignon głowę i rzók:

— Coś wcora wiecór zrobieł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Głodnegoś kijem ode dźwiezy twoik odegnał.

Pojźreli na niego jego dwa kolegowie i sytka w izbie, a Pon Jezus zaś sie do tego po prawej rency obzywo:

— Coś wcora wiecór zrobieł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Dziecko małe jeś bił, jaze krwiom zesło.

Pojźrał na niego jego kolega i sytka w izbie, a Pon Jezus obrócił sie do tego po lawej rency i gwarzi:

— Coś wcora wiecór zrobieł?

Zbladnon ten sędzia, jaze zbielał na twarzy, a Pon Jezus powiado:

— Matke jeś własnom z domu wygnał.

Pojźreli na niego sytka. I stało sie ciho w izbie sądowej, co jaz muhy brzęceć beło słyhać.

A Pon Jezus wte stanom na nogi i obyrtnon sie ku Świentemu Pietrowi i pado:

— Podźme tustela.

I światło mu ponad głowom zagorzało, a ci zbójnicy piersi Go poznali, ize jest Pon Jezus i padli na kolana, wołający:

— Panie Jezu, Ojce świata, pozegnaj nas!

I Pon Jezus krziz nad niemi ucynił, a oni sie zamienili w trzi drzewa jabłonne.

Pote zaroz ze Świentym Pietrem Pawłem zniknon.



I zrozumieli ludzie, jeze tu Bóg beł, i zburzili ten sądowy dom, coby w nim juz nik więcyl po Panu Jezusowi nie sądzieł, a przed jabłonnemi drzewami postawili krziz i on do dziś hań stoi.

A tyk trzok sędziów wygnali z miasta.

Tak wej bywowało drzewiej --- ale teroz ani zbójników niemas, ani Pon Jezus po świecie nie hodzuje.

Kazimierz Przerwa-Tetmajer

ŚWIAT W OGNIU

(Za czas od 21 III do 5 IV)

W i d o w n i a a f r y k a ń s k a. --- Front ten wybija się obecnie na pierwszy plan, więc też od niego zaczynamy.

Położenie uległo tam zasadniczej zmianie przez to, że Sprzymierzeni wygrali bitwę o południowy Tunis. Po 9-dniowych krwawych zapasach zostali Niemcy i Włosi wyrzuceni z silnej pozycji Mareth, tracąc 10 tysięcy jeńców i wiele ciężkiego sprzętu. Rommel cofa się wzdłuż morza na północ w kierunku na Sfax i Sousse, ścigany przez brytyjską 8 armię, nieustannie gromiony przez przeważające lotnictwo, od zachodu zaś napierany przez amerykańską 5 armię. Równocześnie u północnego wybrzeża Tunizji brytyjska 1 armia naciera w kierunku na port Bizerta, osiągając przylądek Serrat, odległy stamtąd o 64 km.

Prawdopodobnie nie uda się odciąć Rommela od połączenia się z generałem von Arnim, ale mimo tego położenie sił Osi (spychanych na coraz węższej przestrzeni i walczących tyłem do morza) staje się tam coraz trudniejsze. Górzysty teren umożliwia wprawdzie trzymanie jeszcze przez jakiś czas dość dużego przedmościa, obejmującego Bizertę i m. Tunis, jednakże wydaje się, że dni tego frontu są już policzone.

W i d o w n i a w s c h o d n i a. --- Front sowiecko-niemiecki chwilowo się unieruchomił. Wprawdzie tu i ówdzie --- szczególnie na przyczółkach Czugujew i Izjum nad górnym Dońcem --- toczą się jeszcze zacięte boje, ale przebiegiem działań rządzi w znacznym stopniu »generał Roztop«. Tylko nad rz. Kubań u stóp Kaukazu trochę już podeschło i warunki są lepsze, wobec czego Rosjanie biorą się do zepchnięcia w morze niemieckiego przyczółka, który trzyma się dotąd u półwyspu Taman. Jednak teren jest tam dobry do obrony.

Według cyfr, ogłoszonych przez sowieckie naczelne dowództwo, straty niemieckie za czas wielkiej ofensywy sowieckiej (10 XI 42 --- 31 III 43) wyniosły 1,100.000 ludzi, z czego 850,000 zabitych i 343,825 jeńców; ilości rannych nie podano jako trudnej do oznaczenia. W sprzęcie mieli Niemcy stracić jako zdobycz wojsk czerwonych: 1490 samolotów, 4670 czołgów, 15,860 dział, 9385 moździerzy piechoty, 30.705 k. m., 123,000 samochodów, 890 lokomotyw, 22.000 wagonów, jako też olbrzymie zapasy amunicji, paliwa, materiału i żywności.

Powyższy wykaz strat niemieckich jest całkowicie sprzeczny z tym, co niedawno powiedział Hitler, określając ogólną ilość zabitych Niemców od 1 IX 39 do wiosny br. na 542,000. Ciekawe uwagi na ten temat znajdujemy w szwajcarskim tygodniku »Curieux« z 25 III. A więc według własnych komunikatów stracili Niemcy w zabitych i zaginionych:

w Polsce	13,979	żołnierzy
w Norwegii	3,592	„

NASZE SPRAWY

— Prof. Stanisław Kot, który prawie dwa lata był ministrem spraw wewnętrznych i zastępcą gen. Sikorskiego, a od lipca 1941 ambasadorem Rzplitej w Moskwie, został mianowany na miejsce min. Strońskiego ministrem informacji. Minister Kot ostatnie miesiące spędził na Średnim Wschodzie, gdzie badał warunki bytu znajdujących się tam Polaków.

— »Der Bund« w ślad za szwedzką »Dagens-posten« podaje sensacyjną wiadomość o rzekomym zamiarze rządu polskiego przeniesienia się do Waszyngtonu, co miało by być spowodowane rozdźwiękami z rządem angielskim na tle zatargu polsko-sowieckiego. Źródło tej niewiarygodnej informacji wydaje się podejrzane.

— Pisarz »ukraiński« Aleksander Korniejczuk mianowany został żastępcą komisarza (ministra) spraw zagranicznych w Moskwie. Korniejczuk łącznie z niejakim Hałanem występowali na łamach prasy i w radiu sowieckim z twierdzeniem, iż nasze ziemie wschodnie są nieodłączną częścią Związku Sow., co spowodowało znaną już wymianę zdań między obu rządami. Nie ulega wątpliwości, że nominacja Korniejczuka jest wyraźną demonstracją Moskwy wobec żądań polskich.

— NZZ z 19 III w korespondencji z Waszyngtonu donosi, iż według zdania niektórych pism amerykańskich Anglia zdecydowana jest podtrzymywać roszczenia sowieckie wobec Łotwy, Estonii, Litwy i Polski. W tym samym czasie znany dziennik londyński »Times« wystąpił z żądaniem »rzeczowego porozumienia« się demokracyj zachodnich z Rosją, przy czym w dyskusji, jaka się w związku z tym wyłoniła, na pierwszy plan wystąpiła kwestja przyszłych granic polsko-sowieckich. Bo popieranie pretensyj sowieckich do konieczności posiadania na zachodzie »lepszych« granic kosztem sąsiadujących z Rosją mniejszych państw jest popieraniem, w gruncie rzeczy, niemieckiego pojęcia o »Lebensraumie«. Tak samo nie można całej odpowiedzialności za przyszłe losy świata wkładać wyłącznie w ręce czterech państw: Anglii, Stanów Zjednoczonych, Chin i Rosji, ponieważ i inne państwa sprzymierzone mieć winny tu coś do powiedzenia. Słusznie zaznaczył holend. minister spr. zagr. van Kleffens, że właśnie mniejsze państwa cierpią obecnie za błędy, popełnione przez mocarstwa, i to niejednokrotnie wbrew radom udzielanym im w najlepszej wierze. Warto sobie uzmysłowić, co by było się mogło stać z niejednym mocarstwem, gdyby Polska, Norwegia, Belgia, Jugosławia i Grecja ugięły się przed żądaniami Niemiec?

— O tym, jak dalece na zachodzie nie orientują się w zagadnieniach polsko-sowieckich, świadczy depesza United Press z Moskwy, gdzie jest mowa o przedruku przez oficjalne »Izwiestja« cyklu artykułów z »Wolnej Polski«, którą agencja U. P. nazywa »organem polskich patriotów w Rosji«. Są to »patrioci« pokroju tych z radia »imienia Tadeusza Kościuszki«, gdyż »Wolna Polska« występuje przeciwko rządowi polskiemu w Londynie i pewnym kołom Polonii amerykańskiej z powodu sprzeciwu co do zaboru polskich obszarów wschodnich przez Związek Sow. oraz wskutek hamowania przedwczesnego ruchu zbrojnego na ziemiach polskich, którego się stale domaga sowiecka radiostacja im. T. Kościuszki. Komentarz »Wolnej Polski« do przytaczanego już artykułu »Times'a« brzmi w ten sposób, że Rosja nie zamierza przenikać poza swe granice, ograniczając się do przyjaznych stosunków z sąsiadującymi państwami. Brzmi to b. pokojowo, cały sęk jest jednak w tym, że w obrębie granic sowieckich — w imię tych »przyjaznych stosunków« — znalazły się część Finlandii, Estonia, Łotwa, Litwa, przeszło połowa Polski, Besarabia i Bukowina...

— 30. III w Londynie przemawiał gen. Sikorski oświadczając, że jeśli nasze prawa nie zostaną uwzględnione, jeśli nasza długa i namiętna walka o wolność przy końcu wojny nie znajdzie należytego uznania, to Polacy, bez względu na poglądy religijne czy polityczne walczyć będą do ostatniego przeciwko zakusom na swoją suwerenność i nienaruszalność swych granic, nie bacząc na to, z jakiej by one pochodziły strony.

— Załoga naszego kontrtorpedowca ORP »Burza« brała udział w ratowaniu załogi okrętu strażniczego »Campbell«, który ucierpiał w walce z niemieckim okrętem podwodnym, przezeń zatopionym.

Podczas walki nad Anglią w nocy na 29. III i w ciągu tego dnia lotnicy polscy i czescy zestrzelili trzy niemieckie samoloty.

— Do Teheranu przybyło z Palestyny 1220 uchodźców -- Żydów, którzy z Polski dostali się do Rosji, stamtąd zaś obecnie dotarli do Iranu. Wśród nich znajduje się 860 dzieci.

---

we Francji	45,458	żołnierzy	
na Bałkanach	1,756	„	
na Krecie	3,742	„	
w Rosji	337,342	„	(do 22 VI 42)

Suma powyższych liczb wynosi 405,869. Dodając do tego przybliżone straty z wojny morskiej i frontu afrykańskiego, »Curieux« dochodzi do cyfry 427,000. Jeśli to odliczyć od owych 542 tysięcy, przytoczonych w mowie Hitlera, musimy przyjąć, że cała wielka ofensywa niemiecka z drugiej połowy ub. r., a następnie odwrót spod Kaukazu, znad Wołgi i spod Rżewa kosztowały Niemców zaledwie 115,000 zabitych. Obliczając ilość dywizji niemieckich między Woroneżem a morzem Czarnym na 80 (a więc nie biorąc wcale pod uwagę ogromnego a aktywnego odcinka od Orła po Leningrad), dochodzi autor artykułu do zadziwiającego ale ściśle wyliczonego wniosku, że w ciągu 9 miesięcy najbardziej zaciekłych bojów tej wojny traciły dywizje niemieckie zaledwie po 5 zabitych dziennie.

Widownia zachodnia. --- Ofensywa powietrzna na Niemcy i obszary obsadzone trwa dalej z niesłabnącą siłą. Celem druzgocących nalotów są ważniejsze ośrodki przemysłu wojennego, węzły komunikacyjne oraz bazy wypadowe okrętów podwodnych. Prócz tego patrole myśliwców brytyjskich często urządzają tzw. »wymiatanie« (sweeping), polegające na polowaniu na lokomotywy, drobne oddziały wojskowe i inne dorywcze cele. Z wielkich wypraw należy wymienić ponowne 2-krotne bombardowanie Berlina, jako też Essen, zakładów Renault pod Paryżem i Antwerpii.

WIADOMOŚCI Z FRANCJI

— Na 1 IV liczba francuskich robotników w Niemczech wynosiła 650,000. W krótkim czasie liczba ta osiągnąć ma okrągło 1 milion.

— Na mocy zarządzenia władz wszyscy Francuzi między 18 a 50 rokiem życia muszą posiadać, poczynając od 20 IV, kartę pracy. Żaden robotnik po tym terminie nie ma prawa zmieniać miejsca pracy bez uzyskania specjalnego zezwolenia z Komisariatu Pracy.

— Poczynając od 1 IV zakazana jest sprzedaż radioaparatów oraz przyborów radiowych. Na ich nabycie wymagane jest specjalne zezwolenie.

— W kopalni Blanzy wydarzyła się katastrofa. Wskutek przerwania się podskórnej wody i wybuchu gazów zawaliło się kilka sztolni; zginęło 7 górników, 5 jest rannych.

W kopalni węgla w Béthune w półn. Francji wydarzyła się katastrofa, która kosztowała życie 13 górników, poza tym 6 było ciężko i 3 lekko rannych.

—W ślad za gen. Weygand i b. ministrem Reynaud niemieckie władze okupacyjne przeniosły do więzienia w Niemczech b. prezesa rady ministrów Daladier, dalej Leona Blum'a oraz gen. Gamelin. Interwencja Laval'a, aby ich pozostawiono we Francji, nie odniosła skutku. Niemcy obawiają się, aby wymienionych działaczy politycznych nie użyto do utworzenia nawego rządu, wrogiego — w przeciwieństwie do obecnego rządu Vichy — wobec władz okupacyjnych.

— Po niedawnym wykryciu w Lyonie przez francuską policję dwóch potajemnych składów broni ogólnej wagi 8 ton, wydarzył się w tym mieście zamach na ciężarowe auto, wypełnione żołnierzami niemieckimi. Przejeżdżający rowerzysta rzucił w samochód bombę, która rozerwała maszynę w drzazgi. 25 żołnierzy zostało rannych. W czasie strzelaniny, jaka się wywiązała podczas zarządzonej natychmiast obławy, raniono śmiertelnie 2 przechodniów. Władze niemieckie zarządziły środki odwetowe.

— Znana organizacja robocza Todt'a w przyśpieszonym tempie buduje umocnienia na wybrzeżach południowej Europy, mianowicie we Francji, Włoszech i Grecji, używając do tych prac także ludności miejscowej. Również stare umocnienia francuskie na Riwierze są modernizowane.

28000 robotników włoskich pod kierunkiem inżynierów niemieckich zajętych jest budową umocnień na Sycylii, Sardynii i Korsyce oraz w wielu ważnych pod względem strategicznym punktach wybrzeża w zatoce Tarentu i nad morzem Tyrreńskim; poza tym na wielu wyspach morza Egejskiego mających chronić dostęp do Salonik.

— Władze francuskie na żądanie wojskowych władz niemieckich przystąpiły do zburzenia dzielnicy Quartier du Vieux Port w Marsylii. Dzielnica ta była siedzibą najrozmaitszych mętów i biedoty portowej. W czasie ewakuacji ludności ze skazanej na zagładę dzielnicy doszło do rozruchów. Wysiedlono około 40.000 osób, które częściowo przeniesiono do b. obozu wojskowego w Fréjus (depart. Var), częściowo zaś rozsiedlono w dep. Bouche-du-Rhône i in. W Quartier du Vieux Port miały ocaleć jedynie budowle o wartości zabytkowej, w praktyce jednak się okazało, że podczas wysadzania dynamitem sąsiednich zabudowań, rozsypywały się i zabytki architektoniczne.

— W Alzacji wprowadzono ustawodawstwo niemieckie... W Alzacji skazuje się na karę więzienia za mówienie po francusku... Z tego rodzaju wzmiankami w prasie spotykamy się coraz częściej. W »Mülhauser Zeitung« ukazał się niedawno artykuł, w którym czytamy, iż »Alzacja i Lotaryngia powróciły obecnie na łono Rzeszy, do której należą przez swą krew, umysłowość i język«. A podprefekt Strasburga, Paul Schall, oświadczył: »Alzatczycy powinni sobie zawsze przypominać, że bez szybkiego zwycięstwa Niemiec na zachodzie tysiące żołnierzy alzackich było by martwych, ich wsie i miasta były by zniszczone«. »Szczęśliwa przyszłość tego kraju leży jedynie w ramach państwa niemieckiego. Nie ma Francuzów w Alzacji. Są to po prostu ludzie, którzy lubują się w wygodnym życiu, ponieważ nie ma tu nikogo, kto by chciał poświęcić dla Francji swe zdrowie, swe życie i majątek. I nie ma zagadnienia alzackiego«.

Co o nas piszą?

— Tygodnik »Illustrated« (Londyn) z 24 X 42 zamieścił bogato ilustrowaną wzmiankę o naszych junakach na Średnim Wschodzie pt. »Polish Boys Prepare« (Polscy chłopcy gotują się).

— »L'Echo Illustré«, tygodnik, ukazujący się w Genewie, w n-rze z 30. I zamieścił obficie ilustrowany reportaż pt. »La Pologne combattante« (Polska walcząca).

— »G. V. Genossenschaftliches Volksblatt«, Bazylea, 27. II, zamieścił artykuł »Polen in Freidorf«, omawiający udział internowanych Polaków na 5-tygodniowym kursie spółdzielczym we Freidorfie.

— »Basler Nachrichten« z dn. 21. I br. zamieściły artykuł pt. »Zur Lage in Polen«, w którym m.in. przypomina, iż we wrześniu Rumunia zamiast przyjść z pomocą swym polskim sprzymierzeńcom — internowała przekraczające oddziały polskie. Nawiązując zaś do naszej klęski pisze: Wojna może być przegrana, państwo rozbite, decydującą jednak rzeczą jest, czy naród uzna się za pobity, czy trwa jako elementarna moc, czy potrafi wydobyć z siebie siły, wolę trwania potężniejsze, aniżeli siła zniszczenia ze strony wroga. Pismo przytacza mało znaną wersję o tym, iż w styczniu ub. r. Niemcy zwrócili się do kierowników akcji podziemnej w Polsce z nast. propozycjami: Stworzenie organu doradczego przy boku gen. gubernatora Frank'a, usamodzielnienie tzw. gen. gubernatorstwa pod względem gospodarczym, częściowa amnestia i zwolnienie z obozów koncentracyjnych. Propozycje to oczywiście zostały przez naród polski odrzucone.

„Faraon" Prusa — po niemiecku

Przygotowywane jest niemieckie tłumaczenie znanej powieści Bolesława Prusa (Aleksanda Głowackiego) pt. »Faraon«. Tłumaczem jest wypróbowany przyjaciel Polski dr Alfred Loepfe. Tłumaczenie obejmować będzie około 800 str. druku. Wydanie tego dzieła uzależnione będzie od wyników subskrypcji (przedpłaty), przy czym cena dzieła wynosić będzie około 12 fr., natomiast po wyjściu z druku około 16 fr. Bliższe szczegóły podamy w następnym numerze »Gońca«. Książka będzie się doskonale nadawała na upominki dla naszych szwajcarskich przyjaciół.

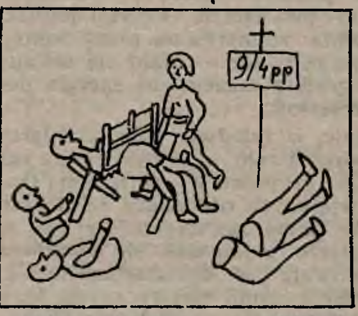
Z ŻYCIA OBOZÓW

MÜNCHENBUCHSEE. Wieczór polski. — 14. III obóz nasz od rana zaroił się gośćmi. Najpierw zjechał akademicki chór z Fryburga, potem coraz obficiej napływać zaczęli widzowie. Licznie zjawili się koledzy, pracujący u okolicznych »bambrów«. Dla nich właściwie i był przeznaczony koncert popołudniowy, nazwany »koncertem ludowym«, który zgromadził także sporą ilość publiczności cywilnej. Lecz właściwa »gala« miała miejsce dopiero wieczorem. Sala była już od kilku dni wyprzedana i teraz wypełniła się doborową publicznością, z ministrem Ładosiem, przedstawicielami narodów zaprzyjaźnionych i władz internowania na czele. Program był nader obfity i rozpadał się na dwie części. Śpiewał chór z Fryburga, solista tenor Pręgowski, grał pianista Kagan, deklamowała p. Ryniewiczowa, dwa stylizowane tańce wykonała p. Anselmi i najbardziej do serc polskich trafiła swym śpiewem p. Korniszewska. Brak miejsca nie pozwala nam na zajęcie się szczegółowiej omówieniem wieczoru; warto jednak zaznaczyć, że nie we wszystkich punktach programu był on całkowitym sukcesem. Zwłaszcza popołudniówka. Jeśli to miał być koncert popularny, to należało by raczej zrezygnować z niezrozumiałego dla ludzi prostych fortepianu, dając natomiast utwory bardziej popularne. Deklamacja o Warszawie nie tylko była za długa, ale i nie przemówiła zarówno do serca słuchaczy, prostych żołnierzy, jak i do świadomości Szwajcarów, którzy jej w ogóle nie zrozumieli. Program koncertu popularnego musiał by być obmyślany zgoła inaczej i różnić się zupełnie od koncertu reprezentacyjnego, jakim w swym założeniu miał być koncert wieczorny. A w tym znowu oba tańce naruszały cokolwiek harmonię całości i śmiało można było z nich zrezygnować. Występ chóru (dyrygował plut. pchor. Estr.), zwłaszcza marsz »To my!«, spotkał się z ogólnym uznaniem, soliści zaś jak Pręgowski i Kagan mają już wyrobione imię i nie potrzebują specjalnych pochwał. Wszyscy wykonawcy z najlepszą wolą przyczynili się do powodzenia imprezy, która w swym wyniku dała ładną sumkę, przeznaczoną na pomoc dla dzieci polskich w kraju. Wymienić należy też chętną pracę żołnierzy obozu przy urządzaniu sali i pomysłowe dekoracje sierż. podch. J. Fortuny.

(w. w.)

OD REDAKCJI: Sekretarz Redakcji nie mogąc znieść już dłużej żalów naszego grafika, że poczta nie przynosi żadnych fotografij ani ilustracyj do działu „Z życia obozów" zdecydował się — ku naszemu przerażeniu — sam ilustrować tę kronikę. Mamy nadzieję, że Czytelnicy i Korespondenci wybawią nas w jakiś sposób z tego kłopotu.

ENNETMOOS. Odzywamy się. — Kompania nasza, stale oddzielona od reszty batalionu, prowadzi żywot samotny, prawie pustelniczy i zamknięty w sobie. Czy tak było zawsze? Najlepiej to wyjaśni opis pierwszego etapu internowania. Po przekroczeniu granicy i przyjeździe następnie do Rohrbach nasza 9 komp. 4 psp. została podzielona na dwie części. Jedną pomieszczono w Rohrbachgraben i po paru miesiącach przeniesiono do Huttwil, drugą zakwaterowano w Auswil b. Rohrbach. W tych to obozach, położonych w mile wspominanym kant. berneńskim, żołnierze nasi znaleźli dorywczą, przeważnie pojedyńczo wykonywaną, a z dnia na dzień liczbowo wzrastającą pracę u miejscowych lub okolicznych »bambrów«. Były też i prace zbiorowe na małą skalę, jak np. zbieranie ze zboża sporyszu, gromadnego i dobrowolnego pomagania przy żniwach, wyrabianie papuci z rafii o podeszwach z plecionego sznurka, lub wreszcie gromadzenie drzewa na zimę i zbieranie go w oznaczonych przez gminę rejonach leśnych. Już wtedy dla zapełnienia wolnego czasu urządzane były kursy polskiego i języków obcych, kursy dla analfabetów itd., zawody sportowe i gimnastyka. Tam też spędziliśmy pierwszą wigilię na internowaniu.



9 komp. 4 psp. została podzielona na dwie części.

Kilkumiesięczny pobyt w obozach kant. Bern spowodował nawiązanie wcale życzliwych stosunków z miejscowa ludnością, co wyszło na jaw przy opuszczaniu przez nas wspomnianych już miejscowości, kiedy żegnano nas zaiste ze łzą w oku.

Blaski i nędze fryburskie

Czas najwyższy, żeby Fryburg przypomniał się nareszcie redakcji i czytelnikom »Gońca«. Nie dlatego, żeby korespondencja z obozu była jak podatek od psów, który należy uiścić raz do roku. Ale dawny obóz fryburski, ten z Grangeneuve i La Chasotte, przestał istnieć, rozpłynął się jak sacharyna w lipowej herbacie. Zostały wspomnienia i garstka starej gwardii, która zniknęła zupełnie w fali nowych przybyszów.

Było nas 50, teraz zbliżamy się do dwóch setek. W ciągu niespełna dwu lat. We Włoszech tobyśmy za taki przyrost dostali co najmniej działki w Trypolitanii, a tu skończyło się na 9 »coupons de repas« na święta.

Czym tłumaczyć taki napływ do Fryburga? Fakt faktem, że obóz stał się modny, być w nim należało widocznie do dobrego tonu i, jak w Polsce maturzysta bez wyraźnych planów życiowych szedł na prawo, tak w naszej dywizji do Fryburga wiał każdy, kto poradził się z gospodynią albo zadarł z ortschefem.

Na gruzach dawnego porządku powstał obóz nowy. Gustaw odwalił kitę, narodził się Konrad. Piszmy o nim.



Konrad z klasztoru bazylianów pisał kredą na ścianie, Konrad Zimand jest postępowy, opala kotły centralnego ogrzewania i naprawia elektryczność. Niech historia rozstrzygnie, który z nich wycierpiał więcej. Co wieczór na korytarzach gmachu St. Louis rozlega się wycie: »Zimand! Światło!«

I natychmiast ze wszystkich pokojów zgrany już od dawna chór skanduje z upodobaniem i aż do skutku: »Światło! Światło! Światło! « (Konrad wyszedł akurat na miasto).

Rzecz jest w tym, że do niedawna w obozie nie było kantyny i nie można było napić się herbaty. Ludzie radzili sobie jak mogli i grzali wodę za pomocą, hm... żarówek, co powodowało liczne krótkie spięcia. Dzięki temu zaciemnienie budynku było na ogół wzorowe.

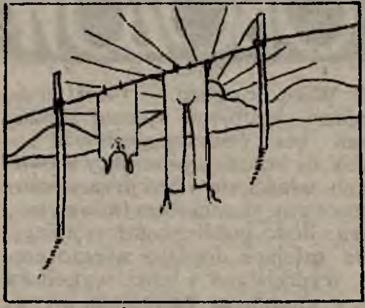
Inne jest zmartwienie w Albertinum. Jest to dostojny, księżowski gmach w centrum miasta, o lśniących posadzkach, gdzie drzwi są malowane na kolor brązowo-czerwony, ustępy zaś na seledynowo. Tu nie mieszka byle kto. Albertinum jest przeznaczone dla tych wszystkich, co wyrastają nad przeciętność, jak słoneczniki nad kartofliskiem. Więc, zasadniczo, panowie oficerowie, panowie asystenci, panowie doktoranci, panowie licencjanci. Ale, wyjątkowo, zwykły, czarnoroboczy student też może mieszkać tutaj, jeżeli są jeszcze wolne pokoje. Właściwie też nie pierwszy lepszy, tylko taki, który »plus minus oceni wyróżnienie« i »swoim zachowa-

Z chwilą przeniesienia nas do nowego obozu staliśmy się obozem pracy, jak wiemy, nieraz przymusowej. Nastąpiło to w marcu r. 1941. Spotkaliśmy się z drugą półkompanią w Gossau, kant. Zurych. Jako kwaterę otrzymaliśmy tu dwupiętrowy dom, w nieładzie pozostawiony w spadku po internowanych Francuzach. Był to gmach dawnej fabryki jedwabiu na Tannenbergu. Początki były wcale przykre. Niezadowolenie z nowego miejsca pobytu, spotęgowane nieufnym przyjęciem nas przez ludność, wiadomość o powrocie Francuzów do kraju, niepomyślne wiadomości z teatrów wojny — wszystko to budziło w niespokojnych umysłach i u ludzi słabszej woli oraz małej wiary rozgoryczenie, zniechęcenie, załamywanie się psychiczne, objawiające się w postaci awantur na zbiórkach lub hałaśliwym szemraniem po kątach. Powoli jednak, w miarę wzrostu zatrudnienia żołnierzy na pracy rolnej, a także wzajemnego zżywania się — dało się odczuć uspokojenie, rozsądek brał górę, z czasem zaś zaczęła powracać i wiara w lepszą przyszłość.

Bywały dni i tygodnie, iż zaledwie paru żołnierzy chorych lub funkcyjnych, pozostawało w obozie, reszta zaś pracowała u gospodarzy albo grupowo w »carierach« (kamieniołomach), także w większych ośrodkach rolniczych Glattbrugg i Oberglatt. W porze zaś deszczowej lub w miesiącach zimowych żołnierze zajmowali się wyrobem owych papuci, część zaś pracowała nad dokształcaniem się. Jeden zajmował się wyrobem lamp elektrycznych, inny przedmiotów ze skóry, jak sznurowadła, portfele itp. W rozbudowę spółdzielni obozowej żołnierze włożyli sporo wysiłku umysłowego i fizycznego. Brali czynny udział w jej życiu wewnętrznym, jak w zebraniach walnych i sprawozdawczych, w dyskusjach na temat konieczności rozbudowy idei spółdzielczej w przyszłej Polsce.

Gęste cienie kładły się nieraz na tym naszym życiu w postaci wiadomości z kraju, od rodzin; okresowe ograniczanie wyjścia z obozu, zmniejszenie rejonu wolnego poruszania się, liczne odwiedziny przedstawicieli HP, smutnie się zazwyczaj kończące dla zainteresowanych — nie przyczyniały się do podniesienia nastroju.

Z Gossau robiliśmy jednodniowe zbiorowe wycieczki, oczywiście w towarzystwie nieodstępnego »anioła-stróża«, do Bachtel, Phannenstiel itp. Pod wpływem wspólnych przeżyć pogłębiał się przyjazny i koleżeński stosunek, zbliżenie się ku sobie wszystkich stopni, zacieranie się różnic w tzw. światopoglądzie, budziło się głębokie i świadome celu przekonanie, że musimy sobie wzajemnie zastępować brakującą rodzinę, tworząc nierozłączną rodzinę żołnierską. Rzeczywistość potwierdza to, odchodzący bowiem od nas do innych obozów żołnierze wracają chętnie i z tęsknotą do swej macierzystej kompanii.



Zyskaliśmy sobie dobrą opinię

Tak w kant. berneńskim, jak i w Gossau oraz w Wetzikonie zyskaliśmy sobie dobrą opinię, zdobyliśmy życzliwość. To też i tu spotkalismy się z serdecznym pożegnaniem, gdy z początkiem kwietnia 1942 r., kończąc drugi okres internowania, wyjechaliśmy do środkowej Szwajcarii, do obozu w Ennetmoos.

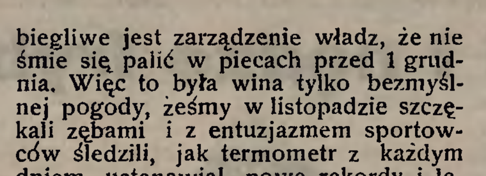
— *Tas* —

WAUWILERMOOS. Nocne rodaków rozmowy. Godz. 21,45. Kończy się jeszcze jeden dzień tu pobytu. Przybywa jeszcze jedna kreska na ścianie, jeszcze jedna data zostaje przekreślona w kalendarzyku. Towarzystwo rozchodzi się po całodziennej tłuczce w belotte i bridża. Godz. 22. Jak stasowane karty leżą na pryczach obok siebie asy dywizyjne: podróżnicy, alkoholicy, donżuani. Światło w baraku zgaszone. Gdzieniegdzie żarzy się w ciemnościach ostatni papieros. Długo jeszcze trzeba czekać, zanim dobroczynny sen pozwoli zapomnieć o rzeczywistości. Ktoś, przybyły dopiero dzisiaj, opowiada w dość zawiły sposób, za co go ukarano. Jest oczywiście przekonany o niesłuszności kary. Padają gorzkie słowa o niesprawiedliwości, protekcji, uprzedzeniu się przełożonych do osoby niewiniątka. Wielu, ma się rozumieć, potakuje, przerywa, każdy chciał by opowiedzieć o swej prawdziwej lub urojonej krzywdzie. Sypią się gęste przekleństwa i złorzeczenia.

Na szczęście ktoś wtrąca uwagę o bliskim zakończeniu internowania i rozmowa przechodzi tym samym na tematy wojenne. Dzisiejszy komunikat wojenny zostaje poddany szczegółowej analizie. Narzeka się z przyzwyczajenia na »sportowców«, natomiast Rosjanie sa obsypywani hucznymi pochwałami. Czekam tylko na powiedzenie: niem usprawiedliwi de grubis pokładane w nim nadzieje«. Mówiąc po ludzku taki, którego chcą spławić z St. Louis, gdzie grasuje dzielny następca Piotra Wysockiego.

Zresztą Albertinum zapewnia swym pensjonariuszom istotnie duże korzyści. Gimnastyki porannej tu nie ma, jeżeli nie liczyć 127 schodów po drodze do St. Louis na śniadanie, apel wieczorny o pół godziny później, jest czysto i prawie wytwornie, do uniwersytetu dwa kroki, z okien można oglądać kłusujące do pracy ekspedientki z Trois Tours, a nade wszystko jest spokój i cisza, o której nie maja pojęcia biedacy z St. Louis. To jest cudowna rzecz. Nie dlatego, żeby natura internowanego była specjalnie skłonna do kontemplacji, ale są i tacy, mimo wszystko, którzy się uczą. A przy nauce nie bardzo pomaga, kiedy kumpel za ścianą ćwiczy się w tęsknych, stratosferycznych ariach. Jak w Albertinum kogoś zaprze tęsknota, żeby »orłem być«, to wali do St. Louis. Tam nikogo to nie zdziwi, najwyżej go pobiją.

Nie należy jednak sądzić, że w Albertinum jest tylko sam miód. Są i ciernie. W Albertinum jest zimno, jak w grudniu pod Stalingradem. Najgorzej było w listopadzie. Mądre i zapobiegliwe jest zarządzenie władz, że nie śmie się palić w piecach przed 1 grudnia. Więc to była wina tylko bezmyślnej pogody, żeśmy w listopadzie szczękali zębami i z entuzjazmem sportowców śledzili, jak termometr z każdym dniem ustanawiał nowe rekordy i leciał z (zimnego) pieca na łeb. Byli tacy, co dzień i noc palili światło w pokoju, bo »żarówka zawsze grzeje«.



Jak słoneczniki nad kartofliskiem

A potem przyszedł styczeń, kaloryfery syczały, pocąc się gorąca parą, a słoneczko grzało i przypiekało z drugiej strony, po listopadowych bizach powiały ciepłe feny, jakby piece Albertinum obsługiwały centralne ogrzewanie szwajcarskiego nieba. Oczywiście zdarzają się i chłodne dni. Wobec tego Zimand sprytnie reguluje spalanie, raz dużo węgla, raz mało. I tak mu wypada, że jak jest zimno, to właśnie mało.

Problem ciszy i spokoju w Albertinum nie jest jednak całkowicie rozwiązany. Chodzisz, człowieku, po pokoju cichutko jak myszka, krzesła przestawiasz z miejsca na miejsce delikatnie, jak umierającego paralityka, zdejmując buty rzucasz je na podłogę oba na raz, byle tylko nie zakłócać sąsiadowi błogiego snu po obiedzie. Na nic, wszystko na nic. Bo oto zjawia się w progu blade widmo iwana groźnego i, przeszywając cię strasznym wzrokiem, jak czapla płotkę, objawia, że już właśnie nic może wytrzymać, tak mu hałasujesz nad głową.

Och, Iwanie! Zamieszkaj, radzę, w St. Louis. Tam usłyszysz, rano, w dzień i w nocy symfonię, której nie wymyślił by nawet lepszy od Wagnera, tam ukołyszę cię do snu tętent podkutych regulaminowo buciorów po kamiennych bieżniach korytarzy i schodów, wrzaski i nawoływania młodych zaporożców, pędzących do kantyny po serki i sacharynę, treningowe występy chóru Hatta przy rozstrojonym niezwykle pianinie, grające na pełnym gazie a za to opuszczone od godziny radio w jadalni, i wrzaski służbowego...

»A niektórzy mówili, że oni jedzą mydło i noszą karabiny na sznurkach«, po czym większość ryczy z uciechy, mniejszość zaś milczy z pewnym zakłopotaniem.

W każdym baraku musi się znajdować przynajmniej 2-3 strategów na miarę Aleksandra Macedońskiego lub Napoleona. Zabierają oni głos. Po kilku minutach wysłuchiwania pozostaje jedynie ubolewać, że znawcy ci znajdują się na internowaniu, nie zaś w sztabach generalnych u Sprzymierzonych. Nic to, że żaden ze strategów nie ma pojęcia o geografii, miesza Woroszyłowsk z Woroszyłowgradem, gubi się w niezliczonych Krasnoarmiejskach, a Charków umieszcza na wschód od Wilna. Braki te pokrywa się znakomicie arbitralnością i pewnością siebie.

Posiadamy na składzie również kilku społeczników i filozofów. Znany już kanonier Jean Boutte rozstrzyga najzawilsze zagadnienia, wygłaszając tego rodzaju sentencje, że »wojna jest tylko po to, aby wybić naród«. Kto wygra wojnę, jest mu właściwie zupełnie obojętne, przecież i tak będzie musiał zawsze pracować, »zawsze będzie bity w....« itd.

Smutna wizja przyszłości ustępuje po chwili promiennym wspomnieniom z czasów przedwojennych. Z prawdziwym rozrzewnieniem opowiada Boutte o fermie, na której pracował przed wojną. Robota była co prawda dość ciężka, traktowanie natomiast nadzwyczaj uprzejme; patron podawał mu codziennie rękę na powitanie i mówił grzecznie »Ça va?«

»Francuzi są wszyscy grzeczni« — słyszę skądś z kąta.

Największy jednak zachwyt, szczególnie po porannej zupce i mamałydze na wieczerzę, budzi opowieść o smakołykach, które kol. Boutte zajadał na owej fermie. Dni postnych w ogóle nie było, co dnia natomiast na stół wyjeżdżały żambą, pule z sałatą i króliki. Następuje pieśń ku chwale ślimaków, ostryg i żab. Kawy się nie piło inaczej niż z rumem, vin rouge nie szklanką a litrami...



Następuje pieśń ku chwale żab

Towarzystwo milczy przez dłuższy czas, oszołomione barwnie opisanym jadłospisem. Jedynie alianci (paru Anglików dzieli z nami wspólną niedolę) z przejęciem o czemś rozmawia. Wzmianka o vin rouge niesłychanie ożywia nastrój. Do głosu dochodzą alkoholicy. Sypią się jak z rękawa opowieści o sławnych wyczynach z dalekiej i całkiem niedawnej przeszłości. Łatwo się daje wyczuć, że każdy chciał by zaimponować ilością wypitych litrów oraz pijackimi wybrykami. Gwoli ścisłości zaznaczyć należy, że w tej części pogawędek ja również biorę nader czynny udział.

Gdy bogaty ten temat nareszcie się wyczerpuje, następuje kolej na przygody miłosne. Najbardziej drażliwe momenty nie zostają pominięte, niektórzy zaś dla zadokumentowania prawdziwości swych słów nie wahają się wymieniać nazwiska, imiona a nawet adresy... Głośny śmiech, jędrne uwagi i potakiwania towarzyszą tym opowieściom. Godną uwagi jest okoliczność, że większość przygód miłosnych nieodłącznie się wiąże z otrzymywaniem paczek.

»Może by się wreszcie skończyły te pogawędki!« — rozlega się groźny głos szefa baraku. W odpowiedzi zalega milczenie.

Leżę i myślę niewesoło o wszystkim, co słyszałem dzisiaj, wczoraj i co, oczywiście, słyszeć będę jeszcze nieraz. Czy naprawdę jesteśmy tak nudni, jałowi, bezmyślni i histeryczni? Czyżby istotnie opanowywała nas niebezpieczna choroba, zwana »barakową«?

M. B—l

PODZWONNE

SPROSTOWANIE. W nr 4/5 „Gońca" ukazała się wzmianka o śmierci strz. Hersza Blondera. Jak się okazuje informacja nasza była mylna. Nieszczęśliwemu wypadkowi uległ strz. Hersz Kornbaum, natomiast strz. M. Blonder zawiadamia nas że żyje i cieszy się najlepszym zdrowiem.

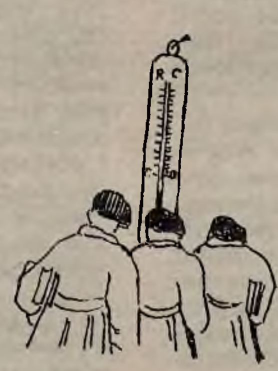
— Dmytryk Michał, strz., ur. 3/XI 1905 w Chlewisku, ostatnio w obozie Ilanz — zmarł 13 marca br. w szpitalu w Chur.

— Jurek Stefan, kapral, 1 komp. 6 psp., ur. 20/IV 1917 w Dąbrówce (Krakow) — zmarł na skutek nieszczęśliwego wypadku w obozie w Niederwenigen 28 marca br.

To w dzień. A w nocy? Bogu dziękuj, że mieszkasz w zacisznym Albertinum, gdzie twój sen zakłóci chyba tylko radosne wycie syren w nocy i daleki szum angielskich samolotów.

Bywają takie feralne dni, że można zwariować w tym kołowrocie. Zaczyna się od tego, że służbowy, zaspany albo Tyrowicz, idzie przez korytarze, mrucząc z cicha »pobudka...«. Trudno, żeby taki omdlały okrzyk dotarł do uśpionej świadomości internowanego, która śni ciężko o niedobrej Rebece, widzianej poprzedniego dnia w kinie. A wystarczy zaspać 15 minut żeby zaczął się pierwszy etap wyścigu z czasem i pękniętym sznurowadłem. Stawka: apel i śniadanie; spóźnienie (na śniadanie) oznacza najmniejszy kawałek sera i najmniejszą jaka jest na stole porcję chleba. Spóźnienie na apel nie oznacza zwykle nic... Więc bieg po schodach, łykane w pośpiechu gorące kakao, znowu schody, tym razem pod górę, uniwersytet. Jeżeli profesor przedłużył o minutę wykład, drugi etap bywa równie morderczy: bieg, obiad, bieg, uniwersytet. Etap trzeci — wyścig na wieczerzę, żeby dostać repetę z makaronu. A czasem jeszcze galop do kina, które zaczyna się zaraz po wieczerzy. Przy takim amerykańskim tempie życia czas leci szybko, jak Forteresse volante. Aż trudno uwierzyć, że mamy za sobą 1000 dni internowania.

Kino należy we Fryburgu do zajęć niemalże służbowych. Bywają takie seanse, że na sali widać tylko mundury khaki, a garstka onieśmielonych tubylców tuli się lękliwie pod ścianami.



Nowe rekordy termometra

Cóż robić, egzystencja internowanego nie obfituje w rozrywki. Jest jeszcze »Leimgrüber«, gdzie chętnie przychodzą na ciastka pensjonarki, jest »Mercator« i »Lucky-Corner«, gdzie są ładne kelnerki, można za tanie pieniądze iść na spacer i można wreszcie »motać«. O tym ostatnim korespondentowi niezręcznie jest pisać, robi to za niego hepak. Są tacy, którzy uważają za rozrywkę zaciemnienie miasta, ale to jest niebezpieczne i bez elektrycznej latarki można paskudnie wpaść. Po nocy nie odróżnisz nawet szarego kota od egzotycznego ptaszka.

To są drobne — miłe albo przykre — marginesy życia obozowego. Treścią jest praca. Prawnicy, medycy, humaniści i ekonomiści zapełniają obszerne, zbyt obszerne na czas wojny sale wykładowe uniwersytetu. Obok czarnych sutann teologów widać tam najwięcej polskich mundurów. Przezwyciężając trudności językowe zdają znakomicie egzaminy i kollokwia semestr po semestrze — pracują nad magisteriami i doktoratami, obkuwając się ze skryptów, zbiegając w przerwach na dziennik radiowy — indeksy pęcznieją coraz bogatszą treścią — dobra tradycja polskich studentów we Fryburgu wyjdzie na pewno wzmocniona po tej wojnie.

Jedna jest tylko troska, duża, troska obłudna i podszyta nadzieją na coś przeciwnego: czy zdążymy pozdawać wszystko w Szwajcarii...?

SAM.



Jacy wrócimy?

I.

Pytanie to pojawia się nieraz, gdy zastanawiamy się nad tym, czym jesteśmy dzisiaj i czym mamy być jutro. To pytanie, może nie zawsze tak jasno sformułowane, przewija się w toku naszych rozmów i dyskusyj. Zagadnienie nasze: wzrastającej lub malejącej przydatności do życia normalnego, płynącego w zwykłych warunkach życia — narasta z każdym dniem przedłużającego się pobytu na internowaniu.

Już w czasie poprzedniej wojny powstało pojęcie »choroby drutów kolczastych«, schorzenia czy urazu psychicznego, wywołanego długim pozostawaniem w obozach jeńców. W naszej obecnej sytuacji trudno by się skarżyć na tego rodzaju uraz psychiczny. Nie jesteśmy bowiem za drutami, korzystamy z pewnej, choć ograniczonej, swobody osobistej. Schorzenie psychiczne, na które w większym lub mniejszym stopniu cierpimy, nazwałbym »chorobą marginesu życia«. Bo przecież nasze życie płynie obecnie obok życia normalnego, w jego ramach jedynie, ale w rzeczywistości jest ono na granicy, na marginesie tego co jest wolnością a jej brakiem. O życie normalne ocieramy się na każdym niemal kroku, ale w nim udziału nie bierzemy i brać nam udziału w nim nie wolno. W okresie głębokich przemian, jakie przeżywa świat, w okresie tych gigantycznych wstrząsów — jesteśmy skazani na bezczynność. Ta świadomość bezużyteczności wywołuje w nas często pewne poczucie niższości, z którego nie zawsze zdajemy sobie dostatecznie sprawę. Ten to kompleks niższości potęguje jeszcze stosunek, w jaki społeczeństwo szwajcarskie okazuje nam swą sympatię lub swą litość. Postawienie szkanki piwa lub powiedzenie łzawego słowa są formą współczucia raczej przykrego, a często i upokarzającego.

Z drugiej znów strony przeżycia w września r. 1939, załamanie się wiary społeczeństwa w nasze siły, wiary wpajanej bez możności jej realizacji — wywołało w nas po opuszczeniu kraju nastrój przesadnego krytycyzmu w stosunku do tego co się działo u nas przed wojną i do ludzi, którzy potęgę Rzeczypospolitej w sobie mieli wyrażać.

Po klęsce r. 1940 nastąpił nastrój niechęci do Francji, niechęci graniczącej z pogardą. W Anglii stosunki między naszą emigracją a tamtejszym społeczeństwem mają raczej skłonność do stopniowego oziębiania się. Szwajcarię poznaliśmy właściwie od kuchni, co doprowadziło na ogół do wysnucia sądu lekkiego pobłażania. Lecz jedna jest rzecz, która nie poddawana jest krytyce. Jest nią nasze własne JA. Ja — to mój osobisty interes, moja wygoda, moja przyjemność, często zresztą zręcznie zawoalowane interesem publicznym.

Warunki i wymagania normalnego życia stanowią naturalny czynnik hamujący zapędy do przesadnej krytyki i swawoli, natomiast atmosfera internowania, atmosfera zupełnej prawie nieodpowiedzialności za swe słowa i czyny sprzyja rozwinięciu się w rozmiarach niemal chorobliwych tej cechy, która może być słusznie uważana za wadę narodową.

Wspomniałem o nieodpowiedzialności. Nie mamy ani życia państwowego ani rodzinnego, jesteśmy wojskiem niewalczącym — w każdej z tych dziedzin kontentujemy się w większym lub mniejszym stopniu namiastkami. Odpowiedzialność za nasze czyny i postępki w świadomości ogółu zamyka się w wąskich ramach kary dyscyplinarnej, horyzontem życiowym jest — dzień dzisiejszy.

Wierzymy i jest to dla nas niezachwianym pewnikiem, a wiara ta u nas żyła nawet w dniach najgorszych, że każdy dzień zbliża nas do chwili, gdy będziemy mogli chwycić się pracy u siebie i dla swoich, jednocześnie zaś żyjemy tak, jak gdyby internowanie było czymś stałym i nieodmiennym. Deklamowanie o przyszłych zadaniach inteligencji polskiej, o zapełnianiu szczerb poczynionych przez wojnę, ta cała gadanina w dalszym ciągu pozwala na pieszczenie wyobraźni obrazem przyszłości w ramach dawnego życia i jego warunków — prawdopodobnie opuszczonego bezpowrotnie spokojnego, wolnego od wszelkich głębszych zrywów żywota.

Ten brak odpowiedzialności pogłębia jeszcze fakt, że odsunięci jesteśmy w naszym życiu osobistym od wszelkich nieomal trosk o sprawy materialne. Wszystko to, co w normalnym życiu trzeba zdobywać własną pracą i zapobiegliwością jest nam dostarczone w formie gotowej, bez żadnej potrzeby troski z naszej strony. Mam wrażenie, że poza okresem dzieciństwa nikt z nas nie prowadził życia tak mało odpowiedzialnego. Jesteśmy prowadzeni za rączkę jak małe dzieci. Mamy mało sposobności do wykazania odpowiedzialności za nasze życie i czyny, a tych znikomych możliwości nie można jeszcze zmniejszać przez podtrzymywanie życiowo szkodliwej i nieusprawiedliwionej wśród wielu złudy »wiecznych dzieci«, bo dzieciuchami przecież lub b. młodymi ludźmi byli wstępując we Francji do wojska. A tymczasem mijają lata i suma naszych przeżyć i doświadczeń życiowych powinna raczej przesunąć nas do grona ludzi starszych ponad nasz wiek.

Jedną z poważniejszych trudności, z którą walczyć musiało odrodzone państwo polskie, było głęboko zakorzenione w społeczeństwie polskim nieposzanowanie zarządzeń wszelkich władz, jako pozostałość po przeszło 100-letnim oporze przeciwko władzom zaborczym. Obecnie znów znajdujemy się w okolicznościach, kiedy obcy wydają nam rozkazy i znów odżyła dawna niechęć do szanowania przepisu prawnego. Ta niechęć słuchania władzy rozciągnęła się na wszelkie rozkazy, czy pochodzą one od obcych, czy od swoich, czy są uzasadnione warunkami życia zbiorowego, czy nie. Znamiennym przy tym zjawiskiem jest, że nawet czynimy społeczeństwu szwajcarskiemu zarzut »zbytniej« lojalności i posłuchu w stosunku do zarządzeń władz. Oczywiście, z naszego punktu widzenia karność ta może być nam w wielu wypadkach niewygodna i krępująca, lecz nie wolno nam zapominać, że cecha ta w stosunku do własnego państwa może być tylko uważana za cnotę.

I tu dochodzimy do niektórych sądów, jakie wypowiadamy o Szwajcarii. Jest sprawą jasną, że wiele rzeczy może nas tu razić, wiele zjawisk nam nieodpowiadać. Daleka inność dróg rozwoju historycznego umysłowości szwajcarskiej utrudnia nam głębsze zrozumienie tego kraju, tym bardziej, iż nie czynimy w tym kierunku poważniejszych wysiłków. Przeciętnie dzielimy zazwyczaj obywateli tutejszych na dwie kategorie: 1) Szwajcarów, 2) ludność cywilną. Szwajcarami są dla nas wszyscy ci, którzy z uwagi na pełnione przez nich funkcje mogą nas

do czegoś zmusić lub nam czegoś zakazać, słowem tych, których działalność związana jest z możliwością postawienia nas w sytuację dla nas przykrą. Natomiast ci, którzy przysyłają nam paczki, piorą bieliznę, przyjmują w swych domach lub w inny sposób świadczą dowody swych uczuć, należą do tej drugiej kategorii i ich działalność **nie** jest brana pod uwagę przy formułowaniu sądu o Szwajcarii. Gdy taki sąd już formułujemy musimy wziąć pod uwagę wszystkie czynniki i dodatnie i ujemne. W przeciwnym bowiem razie robimy grzech przeciw bezstronności, poczuciu rzeczywistości i zwykłej sprawiedliwości oceny ludzi i faktów.

S. L.

Śpieszymy z pomocą

Międzynarodowy Komitet Pomocy dzieciom w Genewie (Union Intern. de Secours aux Enfants) zawiadamia nas, w porozumieniu z Dowódcą Dywizji, że całą korespondencję oraz wpłaty gotówkowe na rzecz dzieci polskich kierować należy do kpt. A. Potoczka, Elgg (Zch).

Na rzecz jeńców w Niemczech wpłacił obóz w Chandoline fr. 100.—, strz. Nowicki, Chandoline fr. 10.—, obóz Chur fr. 9.70.

Na nagrobek śp. Fr. Okupskiego złożyła Dyrekcja Kopalń Mines de Chandoline ofiarę w kwocie fr. 100.— Pozostała należność fr. 250.— wpłacona została przez żołnierzy obozu Chandoline.

POSZUKIWANIA

Poszukiwani są:

519. CZAPLICKI Aleksander i PARADOWSKI Piotr oraz któryś z osadników wojskowych z okolic Krzemieńca Wołyńskiego przez wachm. St. Jakubowskiego, Büren a. A. Spital.

520. Por. KLICH Józef z 16 pp. Tarnów i kapr. BRYŁA Adam z 27 pp. z Częstochowy przez Ignacego Namyślaka, Bern, Burgerspital, Passantenlager.

521. NAMYŚLAK Ignacy, Passantenlager, Bern, Burgerspital, poszukuje kolegów z niewoli.

522. BIESIADA Stanisław przez Mikołaja Jaszczyka Pfäffikon, Zch.

523. ŁAPIŃSKI Stanisław z Gostynia przez st. uł. Wład. Deutscha, Matzingen.

524. DĄBEK Piotr z Równego przez sierż. Józefa Łagana, Schüpbach i E.

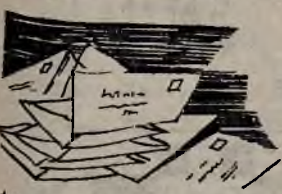
525. GOLACHOWSKI, ŻAK Florian i URBANOWICZ proszeni są przez mjr. Gustawa Madzię, Dömsöd, Hongrie o przyjście z pomocą jego rodzinie przebywającej w Kazakstanie. Adres w Redakcji.

526. ŚWIĄTKIEWICZ Jan z Francji przez Wincentego Łakomskiego, Ilanz.

527. KOT syn Antoniego i PERKOWSKI, obaj z miasta Brok n/Bugiem pow. Ostrów Mazowiecki przez chor. Andrzeja Przywoźnego, Matzingen.

528. NUCKOWSKI Jerzy przez Wandę Muszyńską, Warszawa, Krasińskiego 4/9.

Oj te listy!..



Jednym z przywilejów naszego życia na internowaniu jest niewątpliwie możność prowadzenia korespondencji, nie ograniczonej ani co do rozmiaru, ani — w praktyce — co do ilości listów. Aby to należycie ocenić, wystarczy porównać przepisy obowiązujące naszych braci w niewoli, skąd wolno im pisywać tylko kartki, i to w ściśle oznaczonej liczbie. Tak więc dzięki powyższemu przywilejowi każdy z nas może stale utrzymywać łączność zarówno z kolegami i znajomymi w Szwajcarii, jak i z rodziną w Polsce czy gdzie indziej, co przecież stanowi ogromne ułatwienie i uprzyjemnienie życia.

Niestety trafiają się między nami osobniki, które prawa korespondencji nadużywają w sposób równie karygodny jak głupi. Nie mam tu na myśli omijania obowiązującej cenzury, bo na to istnieją właściwe przepisy, stojące poza naszymi redakcyjnymi paragrafami, — a zresztą któż tu jest bez grzechu? Czego natomiast żadnym »ludzkim błądzeniem« w nijaki sposób wytłumaczyć nie można i na co trudno wynaleźć »okoliczność łagodzącą« — to pisanie listów ordynarnych.

Miałem niedawno przypadkiem wgląd w tego rodzaju »wypracowanie«, które niestety wyszło spod pióra kogoś ze szkolnej ławy (bodaj była pękła!...). Autor owego listu wystawił sobie bardzo niechlubne świadectwo ubóstwa umysłowego i dowiódł niezbicie, jak bardzo mylą się ci, którzy chcą zeń zrobić inteligenta. Pomijając już naruszenie karności zarówno wojskowej jak i szkolnej (bo chodzi o niewybredną krytykę kogoś ze starszych i wywlekanie poufnej sprawy przed obcych), ale jeszcze co za karczemne słownictwo! Doprawdy wstyd!

Tego rodzaju »pisarzy« jest podobno wśród nas sporo. Czyż taki jeden z drugim nie rozumie, że poza wykazaniem własnego braku kultury przynosi wstyd także swoim kolegom — począwszy od tego, do kogo tak pisze? A przecież w cenzurze pracują także kobiety i nieraz dostaje im się do czytania taka ohyda, że muszą ją odstępować do cenzurowania mężczyznom. Czy to później nie staje się świadectwem dla nas wszystkich?

Inna paląca sprawa z tegoż zakresu, to sposób pisania za granicę. Pomimo naszych ostrzeżeń w »Gońcu«, niektórzy ciągle jeszcze nie potrafią sobie uprzytomnić, co to znaczy nieprzyjacielska cenzura i jakie przykre a nawet zgubne następstwa może mieć dla innych czyjaś nieostrożna pisanina. Przecież za omawianie pośrednictwa w korespondencji, za przesyłanie lub przyjmowanie wiadomości politycznych, pewnych fotografii itp. grożą srogie kary w krajach obsadzonych, a szczególnie w Polsce.

Niechże więc każdy z nas weźmie to jeszcze raz pod rozwagę i pisze odtąd tylko w sprawach ściśle osobistych, bo inaczej zaszkodzi jeśli nie sobie bezpośrednio, to swoim bliskim. Najlepiej nie pisać zbyt często (także z innych względów), a wtedy łatwiej będzie utrzymać listy we właściwych ramach.

(Ś)



Zemsta

— Niech pan zabierze swego psa, mnie już pchła skacze po nodze.

— Chodź, Azorku, tu niebezpiecznie, ta pani ma pchły.

Niemożliwe

Właściciel mieszkania pokazuje gościowi portret chłopczyka mówiąc:

— To jest mój dziadek. Miał wtedy dwanaście lat...

— Niemożliwe — powątpiewa gość. — Czyż dwunastoletni chłopczyk może już być dziadkiem?

Istotny powód



Oto dlaczego chory kolega ma tylu gości w szpitalu!

Będzie lżej

Chłopek przejeżdża drogą i widzi kobietę niosącą na plecach ciężki worek. Proponuje jej ażeby siadła na wóz. Kobiecina, ma się rozumieć, chętnie przyjmuje propozycję. Ujechali kilka mil. Chłop spostrzega, że kobieta siedząca na wozie nie zdejmuje worka z pleców.

— Ulżyjta sobie — powiada — i połóżta worek na wozie, matko...

— Gdzieżbym ja to miała robić, tyle ciężaru... niedość, że już sama siedzę...

Krótkowzroczny organista

— Powiedz mi, Jasiu, czego to ten organista tak fałszuje?

— A, bo widzisz, on ma krótki wzrok.

— Cóż to ma z grą wspólnego?

— Nic, bo on odgrywa nie tylko to, co napisane w nutach, ale i muchy, co na kartkach siedzą.

Choroby zawodowe

Pani Agnieszka ma ulubionego żebraka, któremu codziennie daje 10 groszy.

Pewnego razu podchodzi do niego i zapytuje zdumiona:

— Cóż to, dziadku! Jeszcze wczoraj byliście ślepi, a dziś nagle jesteście kulawi?

— A tak! — powiada żebrak. — Człowiek cały dzień stoi na powietrzu, na deszczu, to ledwo się z jednej choroby wyleczy, od razu wpada w drugą.



Sierżant: — Hej, wy tam w drugim szeregu! Kto wam kazał, żebyście sam jeden robili drugi front?

Rozrywki umysłowe

ROZWIĄZANIE:

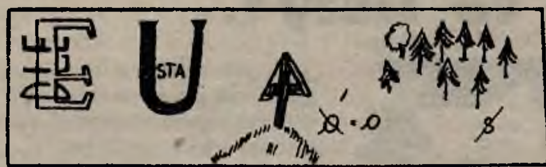
Z nr 6 (62) Rebusy

1) Uwaga, wróg podsłuchuje.
2) Idzie rak nieborak, jak uszczypnie będzie znak.

Z nr 7 (63) Tajemnicza księga

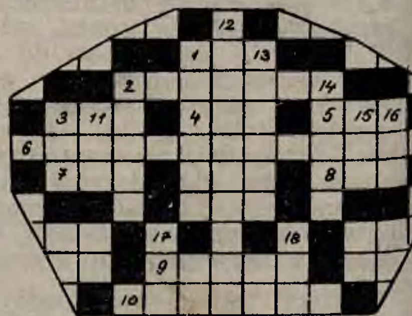
Myszy rozszarpały okładkę książki pt. „Ogniem i mieczem“.

REBUS



KRZYŻÓWKA

ułoż. D.



Poziomo: 1. Skrót „Akademickiego Związku Sportowego“, 2. zabronić, 3. rodzaj psa, 4. wyjść spod... (w kartach), 5. jeśli chodzi o lata, nie pytaj kobiety..., 6. chętnie czytany, 7. zaimek (6. przypadek), 8. gatunek węża, 9. plaga Polesia, 10. inaczej „wezwać“.

Pionowo: 1. drzewo liściaste, 2. zmienić kształt, 3. rzeka w Rosji, 11. zaimek, 12. każdy to czyta, 13. broń, 14. natłok (ż = z), 15. „patrz“ po angielsku (bez litery „k“), 16. rajska postać, 17. gra w karty, 18. rodzaj papugi.

ADRESY: Redakcja: Redaction du Journal des Internés polonais, Münchenbuchsee.
Administracja: Commissariat Fédéral à l'Internement, l'Officier de presse, Poste de campagne 17.
Wpłaty dla „Gońca Obozowego“ na (blank. ziel.) Postcheck-Konto: Presseoffizier für Int. Zeitung — III, 13212, Bern

Cena „Gońca Obozowego“:
dla oficerów i aspirantów Fr. 0.30
dla podoficerów i szeregowców Fr. 0.15
dla osób cywilnych (kwartalnie) Fr. 1.80

L'Officier responsable du Journal des Internés polonais
Major CORREVON
Commissariat Fédéral à l'Internement,
Poste de campagne 17.